

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Kódź

NR 40 (1139) ROK XXII

7 PAZDZIERNIKA 1979 R

CENA 3 ZŁ



Foto: Archiwum

Jerzy Kisson-Jaszczyński

SKĄD NASZ RÓD

Prezydent Zbigniew Kaszuba powiada, że Gniezno jest przez środki masowego przekazu stanowczo za mało eksponowane. A przecież stąd naszród... Po chwili pada jednak informacja, która dostarcza dowodu świadczącego, że i tak kolebka naszej państwowości jest dla nas miejscem najbliższym: pół miliona gości rocznie, wielu z zagranicy, głównie Polaków z pochodzenia odwiedza Gniezno.

Rozumiem. Ten fakt i tamten zarzut potrzebne są prezydentowi do udowodnienia, iż kolejne skreślenie inwestycji hotelu godnego pierwszej stolicy Polski krzywdzi nie tylko Gniezno. Ze wzgórza Lecha, z Ostrowa Lednickiego rodacy pobierają ziemię, by wieść ją do Chicago, Kurytyby, czy Adelaide...

— W ubiegłym roku — mówi pre-

zydent Gniezna — jeden z warszawskich dziennikarzy zapytał mnie z przekąsem dlaczego nasz hotel zwie się „Centralny”? Odpowiedziałem mu pytaniem: a dlaczego to się nazywa hotel...?

Jeszcze niedawno tak wyglądała wyliczanka stolic naszej ojczyzny: Kruszwica nad Gopłem, Gniezno, Kraków, Warszawa. Wiele po Kruszwicy i Gnieźnie wymieniano Poznań, przed Krakowem. Dziś zdecydowanie zrezygnowano z Kruszwicy, będącej jedynie grodem stołecznym Goplan. Prawda natomiast, iż w końcu X w., kiedy nastąpiło zjednoczenie wszystkich etnicznych ziem polskich pod wodzą Piastów, znacznej rozbudowie uległy grody w Poznaniu i Gnieźnie i one spełniały rolę ośrodków stołecznych.

Prof. Witold Hensel („Najdawniej-

sze stolice Polski”, Warszawa 1960) tak precyzuje kwestię stołeczności grodów wielkopolskich:

„Gniezno wyrasta na główny gród nie tylko z uwagi na swe wyjątkowo obronne położenie, lecz także i z tego względu, że znajdowało się ono w centrum ówczesnych dzierżaw Polan... Pierwszą stolicą państwa o szerzej, ponadzwyczajowo-terytorialnej formie było Gniezno...”

Ale w tymże obszernym cytacie prof. Hensel dowodzi stołeczności Poznania za Mieszka I. Tu przecież na Ostrowie Tumskim, w katedrze, w Złotej Kaplicy znajduje się mauzoleum pierwszych władców Polski: Mieszka I i Bolesława Chrobrego...

Stolicą o brzmieniu trudnym, lecz już o randze europejskiej staje się Gniezno za panowania Chrobrego, stąd dziś tu jego pomnik i LO jego

imienia, i ulica... To Bolesław Chrobry właśnie w gnieźnieńskiej katedrze rozpoczął, nie do przecenienia dla Polski, dla jej miejsca w Europie, akty koronacji królów Polski (1025), a o ćwierć wieku wcześniej właśnie on ołsnął samego cesarza Ottona III. „Trudno uwierzyć — relacjonował gnieźnieńską wizytę cesarza kronikarz niemiecki Thietmar — i opowiedzieć z jaką wspaniałością przyjmował wówczas Bolesław cesarza i jak prowadził go przez swój kraj do Gniezna. Gdy Otto ujrzał z daleka upragniony gród, zbliżył się doń boso ze słowami modlitwy na ustach...”

Cesarz otrzymał od księcia Bolesława wspaniałe dary...

Dalszy ciąg na str. 4

W NUMERZE:

Brakuje nam ludzi do pracy

Ważnym zadaniem jest także zwiększenie potencjału usług, bowiem zarówno usługi jak i handel są działem, gdzie trudniej dociera postęp techniczny i dlatego też w szeregu przypadkach praca rąk ludzkich odgrywa tu decydującą rolę.

(ROZMOWA Z MGR. INŻ. LECHEM NICERSKIM)

Park Kultury i Wypoczynku w stanie spoczynku

Ale, proszę państwa, nie licząc pomnika i wspomnianych już basenów oraz pewnych prac, których dokonano na terenie Ogrodu Botanicznego (według opinii pracowników tego obiektu, byłyby dokonane niezależnie od planów całosci), obraz Parku nie uległ większej zmianie.

(ANDRZEJ MAKOWIECKI)

Jeszcze wietrzą się gronostaje

Nie wystarczy jednak, że student znajdzie się na liście przyjętych, musi mieć jeszcze warunki do studiowania. A takich, wszystkim chętnym na I r. studiów nie jesteśmy w stanie zapewnić. Nie ma chyba zresztą kraju na świecie, w którym studiowałoby wszyscy, którzy chcą, bez żadnej selekcji.

(MAŁGORZATA GOLICKA)

POZA TYM:

REALIZM LESZKA RÓZGI — Joanny Bojarskiej — Syrek i inne artykuły o PLASTYCE.

TO, CO BYŁO — Tadeusz Szczepański.

„DWA BRATY” — Zofii Lorentz.

Felletony, recenzje, „Załącznik”.

Publikowane tu listy z bogatego archiwum pisarza Apoloniusza Zawilskiego, autora licznych książek o wojnie obronnej Polski w r. 1939 („Bateria została”, „Bitwy polskiego Września”, „Bitwa nad Bzurą 1939”, „Kamienne zegary”) są częścią korespondencji, w związku ze zbieraniem materiałów do tych publikacji, albo też będącej rezultatem ogłoszonych prac. Nie są to wszakże zwykłe listy czytelników, pochodzą bowiem w zasadzie od uczestników kampanii wrześniowej lub ich najbliższych i wnoszą spory pakiet nowych informacji o wydarzeniach sprzed lat czterdziestu, albo też korygują relacje o nich. Dowodzi to, że mimo upływu czasu, dramat Września żywo obchodzi jego uczestników budząc wciąż emocje i że pamięć tamtych spraw nie zna przedawnienia.

Oglądamy te listy z konieczności we fragmentach i z maksymalnie lakonicznym komentarzem, mówią one bowiem przejmująco same za siebie. Pragniemy jednocześnie w tym miejscu wyrazić wdzięczność Apoloniuszowi Zawilskiemu za udostępnienie nam tych unikalnych materiałów.

ODGRODZENI MORZEM

Montreal, 28 lipca 1969 r.

Zwracali się już do mnie nie raz koledzy z Polski o przysłanie im moich, takich czy in-

nych, opracowań na temat kampanii wrześniowej, ale zawsze, choć z przykrością, im odmawiałem.

Przyjąłem zasadę, po jednym złym doświadczeniu, że do kraju nie posyłam żadnej mojej pracy, dopóki nie zostanie ona ogłoszona drukiem na emigracji. Już za trzy miesiące będzie mógł Pan ją w pełni wykorzystać.

Moja praca dotyczy innych zagadnień niż te, które — jak Pan mi pisze — zamierza Pan przedstawić w swej książce. Dotyczy ona określonej dziedziny prac przygotowawczych do wojny, organizacji i pracy Naczelnych Władz Wojskowych, i ich wpływu na prace W. S. Wojennej. Nie porusza zupełnie przebiegu kampanii. Nie wchodzi w zagadnienia taktyczne, a zagadnienia planowania strategicznego i operacyjnego omawia w najogólniejszych zarysach na najwyższym szczeblu. Zganie więc jej z tematami taktycznymi, którym Pan po święta swą książkę, byłoby niezmiernie trudne, jeżeli nie niemożliwe i wypadłoby sztucznie.

W. Stachiewicz

Ta taktowna odmowa nieżyjącego już generała dywizji Wacława Stachiewicza (1894—1973) jest niestety charakterystyczna dla pewnego odłamu wojennej emigracji. Autor listu był we wrześniu 1939 r. szefem Sztabu Naczelnego Wodza i współautorem planu operacyjnego

LISTY O WRZEŚNIU

„Z”, który nie sprawdził się w warunkach frontowych.

Montreal, 30 czerwca 1974 r.

Z wielkim przejęciem przestudiowałam książkę Pana... Znając tak dobrze prace mego Meza mogę stwierdzić, że temat Armii „Kraków” traktuje Pan w sposób, który Mąż mój by zapewne uznał za właściwy. Zdanie to popierają bliźniacy przyjaciele mego Meza, którzy prace Pana przestudiowali.

Nie wiem, czy moje plany dojdą do skutku, ale myślę być w Polsce na początku września z krótką wizytą, razem z córką moją Jolantą Collins, z domu Frankowską, córką Admirala. Byłoby miło zobaczyć się z Panem, gdyby Pan był wtedy w Warszawie.

Łączę wiele uprzejmych słów
Marja Róża Szyllingowa

Do spotkania tego nie doszło. Autorka listu jest wdową po generale brygady Antonim Szyllingu (1884—1971), który we wrześniu 1939 dowodził Armią „Kraków” w sławioną bitwę pod Tomaszowem Lubelskim po czym dostał się do niewoli niemieckiej. Pierwszym mężem Marji Szyllingowej był komandor Stefan Frankowski (1887—1941?), dowódca Morskiej Obrony Wybrzeża, który po kapitulacji Helu 2 X 1939 dostał się do niewoli niemieckiej, gdzie zmarł.

Nowy Jork, 25 września 1968 r.
Książka jest bardzo dobra — pisana z miłością o młodzieży polskiej. Daje sprawiedliwe świadectwo wojnie walczonej do ostatniego tchu z Niemcami ze strony całego polskiego wojska.

Dalszy ciąg na str. 2

AKTUALNOŚCI

Stało się dobra tradycja, że uroczysta inauguracja roku kulturalnego i sezonu artystycznego wiąże się z powołaniem do życia kolejnej placówki o istotnym znaczeniu dla kultury Łodzi. U progu roku kulturalnego 1979/80 twórcy i działacze spotkali się 28 września 1979 r. na uroczystej inauguracji wojewódzkiej w nowo otwartym Osiedlowym Domu Kultury przy ul. Lokatorskiej 13.

Nowy dom kultury na Górnej powstał staraniem spółdzielczości mieszkaniowej: „Lokatora” i „Ogniwa” przy materialnym wsparciu zakładów pracy. Funkcjonalnie rozwiązana placówka zasilila bazę kulturalną Górnej. W dzielnicy tej szczególnie dobrze ukladala się dialog twórców z robotnikami, konkretne efekty przynosił „Sojusz światła pracy z kulturą i sztuką”, w licznych przyzakładowych domach kultury i klubach rozwija się amatorski ruch artystyczny, coraz gęstsza jest sieć bibliotek.

O sprawach tych mówił na wstępie inauguracji i sekretarz KD PZPR — Górna — E. Grabowski, który powitał równocześnie w imieniu gospodarzy dzielnicy przybyłych przedstawicieli władz, z sekretarzem KL PZPR — G. Adamczewską, przewodniczącym LK SD — Z. Poltem, sekretarzem WK ZSL — L. Kempa, wiceprezydentem m. Łodzi — J. Morawcem, i kier. Wydz. Pracy Idosow. Wych. KL PZPR — J. Olsbrykiem, oraz zebranych na sali przedstawicieli zakładów pracy, twórców i działaczy, młodzieży.

Zebrani wysłuchali interesującego programowego exposé, które w imieniu władz kulturalnych miasta i województwa wygłosił dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UML — Maciej Łukowski. Mówca nawiązał do 35-lecia PRL, podkreślając, iż było ono dla Łodzi okresem ważnych dokonań kulturalnych.

szczeblach „drabiny” placówek upowszechniania kultury, w dziedzinach i gminach konieczne są w tym zakresie poszukiwania nowych form oddziaływania na potencjalnych odbiorców, zwłaszcza przez środki dostępne plastycznie (np. plakaty).

Pamięć o tych, którzy kulturę tworzyli i tworzą wymaga również

w dziedzinie teatru szczególną troską otoczy się młodego widza, podejmie się starania o powiększenie młodzieżowego audytorium. Jeszcze większa niż dotąd rola przypadnie wychowaniu plastycznemu.

Będzie się zwracać uwagę na wzrost kwalifikacji kadry, właściwe jej wykorzystywanie. Za tym podą-

chowawczego w środowisku wiejskim.

Uwieńczeniem programu inauguracji roku kulturalnego i sezonu artystycznego w mieście województwie łódzkim stała się uroczystość w Filharmonii Łódzkiej, w której wzięli udział przedstawiciele władz partyjnych i państwowych z sekretarzem KL PZPR, przewodniczącym Rady Narodowej m. Łodzi — Bolesławem Koperskim, sekretarzem KL PZPR — Genowefą Adamczewską i prezydentem m. Łodzi — Józefem Niewiadomskim.

Doniosłym momentem uroczystości było wręczenie przyznawanego łódzkim filharmonikom przez Radę Państwa w roku 35-lecia PRL KRZYŻA KOMANDORSKIEGO ORDERU ODRODZENIA POLSKI. Aktu dekoracji dokonał — Bolesław Koperski, przekazując to zaszczytne odznaczenie na ręce kierownika artystycznego zasłużonej placówki — Henryka Czyżę.

Gratulując zespołowi Filharmonii Bolesław Koperski podkreślił jej rolę i wkład w rozwój życia kulturalnego miasta i kraju. Jednocześnie wyraził przekonanie, że obecny młody zespół PFL będzie godnie kontynuował dorobek swoich poprzedników i życzył mu jak najszybszego spełnienia marzeń o nowym, pięknym gmachu, na który tak czekają zarówno muzycy, jak i liczni, łódzcy melomani.

(SOL.)

INAUGURACJA ROKU KULTURALNEGO

nych, których roli — w kształtowaniu oblicza współczesności — nie sposób przecenić. Dlatego — zaznaczył M. Łukowski — szczególną wagę powinno się przywiązywać do utrwalania tych tradycji, a także do potwierdzania ich nowymi, nie mniej wartościowymi dokonaniami. W tej mierze ważne zadania przypadają wszystkim środowiskom twórczym.

Działania inspiracyjne i organizatorskie w dziedzinie kultury — stwierdził dalej mówca — muszą cechować: selekcja, konkretność i skuteczność. Warunkiem zachowania skuteczności jest np. dobra informacja w społeczeństwie, stwarzająca odbiorcom kultury pełną możliwość wyboru. Nie chodzi tu jednak „tylko o informację w prasie i środkach masowego przekazu. Nie może jej bowiem brakować wszędzie tam, gdzie rodzą się nowe inicjatywy, przede wszystkim na najniższych

dokumentacji, szczególnie zaś tam, gdzie mamy do czynienia ze sztuką ulotną — jak np. teatr. Dyr. M. Łukowski podkreślił, że rejestracja zjawisk musi objąć wszystko, co jest godne utrwalenia — od przyzakładowych izb tradycji przez muzea i biblioteki, po archiwa i zbiory filmowe. — Chcemy ten dorobek gromadzić i systematycznie pokazywać społeczeństwu — stwierdził mówca. — Ale nie tylko w Łodzi. Nie mniej ważnym zadaniem jest eksponowanie naszych działań kulturalnych w kraju... W tej samej sferze — dodajmy — znajdują się starania o zachowanie wartości łódzkich zabytków.

Od nowego roku kulturalnego działania UML popierać będą inicjatywy uzasadnione ze społecznego punktu widzenia, odpowiadające rzeczywistemu zapotrzebowaniu. Dyr. Łukowski przedstawił w zarysie główne kierunki działań. I tak np.

zać musi coraz lepsze rozeznanie potrzeb środowiska, unikanie powielania imprez, konieczność specjalizacji domów kultury.

Uroczystość inauguracji nowego roku kulturalnego uświetniło wręczenie zasłużonym działaczom i twórcom kultury odznaczeń państwowych i odznak resortowych.

W przeddzień, tj. w czwartek 27 września otwarte zostały w Łodzi cztery placówki biblioteczne, tak dla dorosłych, jak i dzieci oraz młodzieży, w czterech — poza Śródmieściem — dzielnicach miasta. W nowej siedzibie zainaugurowała również działalność Fracownia Regionalna MBP przy ul. Gdańskiej 96.

W sobotę, 29 września br., w Strykowie odbyła się uroczysta inauguracja nowego roku kulturalno-wy-

JUBILEUSZ CENTRUM SZKOLENIA OFICERÓW POLITYCZNYCH

CSOP wywodzi swój życiorys od pierwszych kursów i szkół dla aparatu politycznego jednostek Wojska Polskiego sformowanych w Związku Radzieckim podczas II wojny światowej. Ale przede wszystkim jest on kontynuatorem tradycji związanej z decyzją o utworzeniu Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych Armii Polskiej w ZSR i otwarciem tej Szkoły 6 maja 1944 roku w Sumach, na ziemi radzieckiej.

Na przestrzeni kilkudziesięciu lat swego istnienia ta wojskowa, partyjna uczelnia służyła narodowi i partii. W jej murach słuchacze zdobywali kwalifikacje oficerów polityczno-wychowawczych predesty-

nowanych do kształtowania postaw ideowych, wysokiego moralnego i integracji armii polskiej, w Związku Radzieckim, do godnego spełniania żołnierskich obowiązków na polach walki, udziału w organizowaniu i utrwalaniu władzy ludowej na obojętnej ziemi. W tym czasie Szkoła wykształciła tysiące oficerów politycznych, którzy

aktywnie włączyli się w proces walki o narodowe i społeczne wyzwolenie kraju, w proces budownictwa socjalizmu w Polsce. Podobnie jak kiedyś, także i dziś wychowankowie Szkoły rozwijają działalność polityczną i wychowawczą, zarówno w wojsku, jak i w życiu cywilnym — jako oficerowie korpusu politycznego, działacze partyjni i państwowi, pracownicy nauki, kultury, sztuki.

W całokształcie działalności ideowo-politycznej i dydaktyczno-wychowawczej uczeni bardzo istotną rolę odgrywają więzi łączące kadry i słuchaczy CSOP ze społeczeństwem Łodzi, a w szczególności z łódzką klasą robotniczą. Zostały one

zadziergnięte 21 kwietnia 1945 roku, z chwilą przeniesienia ówczesnej Centralnej Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych z Lublina do Łodzi. Ta decyzja Komitetu Centralnego PPR nie była przypadkowa. Uznano, iż łódzka klasa robotnicza, znana ze swych rewolucyjnych tradycji, będzie twórczo i wychowawczo oddziaływać na ideowo-polityczne postawy podchorążych. Działalność Szkoły potwierdziła słuszność tej decyzji.

Więzi uczelni z wielkopremysłową klasą robotniczą są najbliższe w kluczowych zakładach Łodzi, skupiających najliczniejsze załogi. Są wśród nich zakłady: im. J. Marchlewskiego, Obrońców Pokoju, 1 Maja, F. Dzierżyńskiego, „Teofilów”, „Dywilan”, Zakłady Kłotechniczne „Prexer”, „Elita” i inne. Kadra i słuchacze CSOP prowadzą tam systematyczne wykłady, w których dominuje problematyka społeczno-polityczna i gospodarcza, a przede wszystkim zagadnienia wynikające z realizacji programu partii.

Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych prowadzi także działalność ideową wśród młodzieży szkół średnich i wyższych. Szczególną rolę w tej działalności odgrywa zorganizowany przez podchorążych Wojskowy Krag Instruktorów. Jego członkowie organizują spotkania i dyskusje z młodzieżą, organizują wspólne sympozja naukowe, populary-

zuja wśród młodzieży problematykę patriotyczno-obronną i prowadzą wiele innych zajęć.

Te serdeczne więzi łączące klasę robotniczą łódzką z kadrami i słuchaczami CSOP, znajdują także wyraz w podejmowanych i realizowanych czynach społecznych. Stosunek mieszkalców Łodzi do inicjatyw podejmowanych przez uczelnię w umacnianiu więzi wojska ze społeczeństwem jest bardzo żywy. Co znajduje wyraz, między innymi, podczas manifestacji 1-Majowych i uroczystych przysięg, odbywających się przed pomnikiem Czynu Rewolucyjnego, którym rokrocznie towarzyszą tłumy mieszkańców miasta. Umocnia się i utrwała współpraca uczelni z łódzkimi instancjami partyjnymi, z administracyjnymi władzami miasta, organizacjami społecznymi. Dla CSOP nader cenna jest współpraca z Łódzkim Ośrodkiem Kształcenia Ideologicznego Komitetu Łódzkiego PZPR, pożyteczne są kontakty z Towarzystwem Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, Łódzkim Oddziałem Związku Literatów Polskich ze Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich, Towarzystwem Krzewienia Kultury Świeckiej Federacją ZSMP i innymi. Te, i jeszcze szereg innych form współpracy uczeni ze społeczeństwem, klasą robotniczą Łodzi są integralnym, nader ważnym elementem ideowo-

-wychowawczego procesu kształcenia słuchaczy CSOP.

Powracając do historycznych już dzisiaj tradycji Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych, należy przypomnieć, że w pamiętnych dniach maja 1945 roku, kiedy na gruzach Berlina kończyła swój żywot III Rzesza, w ówczesnej, przeniesionej już do Łodzi, Centralnej Szkole Oficerów Polityczno-Wychowawczych rozpoczął się nowy kurs podchorążych. Po zakończeniu działań wojennych na ziemiach polskich, słuchacze łódzkiej CSOPW w bardzo różnorodny sposób i w różnych formach wnieśli swój wkład w umacnianie i utrwalanie władzy ludowej w Polsce. Obok zajęć programowych — główne zadanie sprowadzało się do intensywnego szkolenia wciąż nowych kadr oficerów polityczno-wychowawczych dla Budownictwa Socjalizmu w Polsce. W tym celu aktywnie działali na zewnątrz Szkoły.

I tak, na przykład, w związku ze zbliżającym się referendum w Oficerskiej Szkole Polityczno-Wychowawczej, taką nazwę otrzymała ona 12 kwietnia 1946 roku, zorganizowano trzy grupy operacyjne: „Warszawa”, „Tatry” i „Bug”, które działały na terenie powiatów — piotrkowskiego, wieluńskiego i radomskiego. W wyniku akcji bojowych, przeprowadzonych przez te grupy, rozbito bandy „Warszawczy”, „Grot”, „Wojewodki”, „Rudego”

„Młota” i „Śmiałego”. W trakcie walk z bandami wielu słuchaczy CSOP poniosło śmierć. Zginęli m. in. ppur. Jan Bednarz oraz podchorążowie: Bronisław Dziurgot, Julian Miceusz, Józef Mucha, Romuald Gawin, Edward Kurak. Włery Grodzki. Część podchorążych odbywających praktyki w jednostkach wojskowych brała udział w walkach z bandami UPA, WIN i NSZ.

Po szeregu reorganizacji, w 1977 roku, uczelnia została przemianowana na Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych im. Ludwika Waryńskiego. VII Zjazd Partii, a następnie II Krajowa Konferencja Partyną stały się okazją do podsumowania całego dorobku Uczelni i jednocześnie obligowały ją do jeszcze większej aktywności.

W tej nader interesującej konferencji popularno-naukowej wzięli także udział zaproszeni goście: sekretarz KL PZPR — Genowefa Adamczewska, zastępca szefa GZP WP — gen. brzdądy, Tadeusz Dziekan, zastępca dowódcy Wojsk Obrony Powietrznej Kraju — płk dr Władysław Honkisz, Budowniczy Polski Ludowej, poseł na Sejm PRL — Stanisław Swiderski oraz matka chrzestna sztandaru CSOP, ufundowanego w 1945 roku przez łódzkich robotników — Zofia Patora.

(STOK)

DOKUMENT

Dalszy ciąg ze str. 1

Krytyka wyższych dowódców jest w tej pracy bardzo ogólna — tak jak być powinno w książce dla użytku młodzieży polskiej szkolnej. Niech czytają i uczą się jąci mają być żołnierze polscy w przyszłości.

Leon Mitkiewicz

Autor listu, znany z licznych opracowań o Wrześniu, które opublikował na emigracji, ma na myśli książkę A. Zawilskiego „Bitwa nad Bzurą 1939”.

CZULIŚMY GORYCZ KLĘSKI

Toruń, 3 grudnia 1979 r.
Pokaż nie przeczytałem „Bitwy polskiego Września”, o wiele mocniej odczuwałem gorycz naszej klęski w 1939 r. Tym bardziej, że już w pierwszych dniach wojny dostawałem się do niewoli i cały czas przebywałem w Oflagu Woldenberg, a po wojnie czytałem tylko częściowe opisy naszej wrześniowej walki.

Na polu napisania do Pana składają się jeszcze następujące okoliczności. Jako oficer ogniowy ppur, rez. czułem się winnym utraty baterii podczas odwrotu z pozycji koło Grudziądza. Jestem synem chłopkim i w czasie kilkuletniej niewoli zorganizowałem grupę ludową pod nazwą Sekcja Kultury Wsi, w której kształtowały się nasze poglądy, między innymi czynnikami pod wpływem takich książek jak „Historia chłopów” Świętochowskiego, „Rozdroże” M. Dąbrowskiej i „Młodego pokolenia chłopów” Chałasińskiego. To ostatnie dzieło było dla nas, podobnie jak dla Pana, „Biblia”, która w postaci kilkudziesięciu bro-

zurek, była namienne czytana i służyła do budzenia sumienia wystraszonej synów wsi. Nasza SKW liczyła 180 członków i była prowadzącą organizacją ideowo-polityczną w Oflagu liczącym 7000 oficerów. Jej działalność przedstawiona jest w książkach pt. „Nauczyciele w obozach jenieckich” i „Roczniki dziejów ruchu ludowego 1972”.

Feliks Piłat

Autor listu, z wykształcenia inżynier, pracował po wojnie jako nauczyciel. Przeniesiony w stan spoczynku pracował społecznie poświęcając energię na walkę z alkoholizmem.

Łódź, 15 lutego 1973 r.

Cieszę się, że to dzieło, bo pisane jest żołnierską ręką, głową i sercem. Wnieśliście liść laurów do sławy oręża naszego, mimo przegranej i katastrofy narodowej. Dzięki autorowi można z książki odczytać „gloria victis”. Odnosi się to nie tylko do wojska, ale całego narodu.

Na pewno autor otrzymuje wiele podobnych listów. Na pewno znajdują się także uwagi i uwagi, bo nie sposób ich uniknąć w takiej pracy, obejmującej najważniejsze walki.

Mam przekonanie, że „Bitwy” zastąpią sobie na drugie jeszcze wydanie. Można będzie wtedy to i owo uzupełnić i ewentualnie wzbogacić treść nowymi faktami. Macie powód do dumy i to słusznej.

mjr Józef Lubnicki

Autor listu, m. in. dowódca 1 kompanii 1/8 pułku piechoty legionów w Grupie operacyj-



rej Kowalskiego, ma na myśli książkę A. Zawilskiego „Bitwy polskiego Września”.

Warszawa, 26 września 1973 r.
Piękne dzieło Pańskie we współczesnej tematyce literaturze stawiam na równi z „Powstaniem Warszawskim” A. Borkiewicza, na najwyższym szczeblu — prawdę, doznane go trązimu narodowego.

(Serdecznie dziękuję) w imieniu najbliższego grona czytelników (b. żołnierzy), jak i we własnym, za tak wiernie i obiektywne ujęcie stałe nurtującego tematu: ofiarności Wrześniowego Żołnierza, jego, ponad miarę fizycznej wytrzymałości, bezgranicznego wysiłku i pełnej determinacji. (Żołnierz polski) przez 35 dni i noc, bez snu, o głodzie, bez wody i wypoczynku, przy wyjątkowo pięknej, jesiennej aurze, z bagażem insektów, na zoolatych i przeważ-

nie oparzonych i poranionych nogach — z nie spotykaną zawziętością i bez przerwy ścierał się z licznymi zagonami broni pancernej wroga i atakującego lotnictwa bojowego. Walczył z pełną wiarą w obronę własnego domu, narodu i nad życie umiłowanej Wolności.

Aleksander Nowosielski

Autor listu, uczestnik dwóch wojen światowych był podczas okupacji więźniem hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Ma na myśli „Bitwy polskiego Września”.

Warszawa, styczeń 1979 r.

DROGI KOLEGO Z WRZEŚNIA 1939 R.

Cieszę się ogromnie, że znów spotkałem Pana — po tylu latach, choć w nieco innej scenarii niż tej, w Smłowicach na stopach przy akompaniamencie bliskich wybuchów artylerzystów — którego Pan tak szybko i skutecznie „wymacał”. Pamiętam jak dziś te dobie spędzone na tym punkcie obserwacyjnym. Sytuacja wcale nie była początkowo taka bohaterska w szeregach okopanej naszej piechoty. Po drodze, spotykałem coraz liczniej wycofujących się, oparniętych paniką piechurów. Wreszcie udało się kidożrenu z oficerów powstrzymać kilkunastu. Reszta za nimi wróciła na stanowiska w okopach. Niemcy niewątpliwie zamierzali przerwać tę linię obrony i wejść na tyły dywizji. Szczęście, że przybył Pan w sukur w porę. Efekt pojedynku stoczono z niemiecką baterią był również szybki jak zaskakujący Odetchnąłem w ciszy jako zaplanowała — nie nam nie zaprzęgało.

Potem drogi się rozdzieliły: Pan chciał sforsować pierścień niemiecki z kierunku Łasek,

odgłosy

Redaguje telegiemy: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-zy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MALGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAŁOWICKI, JERZY RYMIŃSKI, JOMASZ GOLDENHOFF, ORAZYNIA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stole wydawniczej: JAN BABINSKI, ANDRZEJ BLAJER (ADEJUSZ SZLĄŻEWSKI), TADEUSZ CHRZOSCIĘWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ J. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORLOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPARSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

Dalszy ciąg ze str. 1

Rozmawiamy z prezydentem Kaszubą o konsekwentnie prowadzonej rewolucyjnej polityce. Głównie, kiedy nagle za oknami jego gabinetu rozlega się przejmujące granie syren. Godzina dwunasta. Milkną. Nad Gnieznem, nad Polską przepiękna pogoda. Jak wtedy, 1 września 1939. Jest 1 września 1979.

Prawie tysiąc lat temu cesarz niemiecki Otton III otrzymał od Bolesława Chrobrego wspaniałe dary, a „co największą sprawił mu przyjemność, trzysta opancerzonych żołnierzy” — powiada Thietmar. Przez tysiąc lat potomkowie niemieckiego cesarza przemocą brali z naszej ziemi nie pytając i siejąc mord i zniszczenie. Opancerzeni żołnierze wdzierali się na wschód, a przepędzani przez nas w wojnach obronnych, pozostawiali po sobie zgłiszcz i cmentarze, i najtragiczniejszą z tragicznych pamięć.

Tragicznie zabrzała wieść. Armia „Poznań” odcodził bez walki, by bronić wyznaczonych linii strategicznych w głębi kraju. Po wymarszu wojska, w Gnieźnie natychmiast utworzono władzę tymczasową, bo i władze administracyjne opuściły miasto, powołano Straż Obywatelską. Na ich czele stanął bohater Powstania Wielkopolskiego, gnieźnieński dziekan, ks. mjr Mateusz Zabłocki. Straż Obywatelska opanowała miasto i broniła Polaków przed wystąpieniami hitlerowskiej V kolumny w okolicy.

Do najbardziej krwawych walk doszło w miasteczku Klecko, będącym forpocztą Gniezna. Okazało się, że obrońcy mają przed sobą niemieckie regularne wojsko. Na Klecko, na Gniezno szedł 12 pułk Grenadierów, wspierany przez miejscowych kolonistów, którzy w zdobytym już osadach i wsiach wskazywali Polaków biorących lub podejrzanych o udział w bohaterstwie samoobrony, co równało się wyrokowi śmierci. Sami wczorajsi sąsiadzi Niemcy gorliwie maltretowali lub mordowali sąsiadów Polaków. To właśnie pod Kleckiem 12 pułk Grenadierów zastosował już we wrześniu 1939 r. „żywe osłony” z ludności cywilnej. Wyciągnięci z domostw niewinni ludzie służyli za podpórki karabinów strzelających do Polaków orawców.

Ks. mjr Zabłocki i pozostali członkowie komitetu obywatelskiego Gniezna uznali, że hitlerowcy czekają tylko na pretekst do zniszczenia miasta, będącego obok Krakowa największą skarbnicą kultury narodowej Polaków. Obrona miasta przed regularnym wojskiem była bezsensowna. Komendant obrony Gniezna z białą flagą wyjechał przed miasto. Jego samochód został ostrzelany mimo widomego znaku parlamentarnego. Ranny ks. mjr Zabłocki poinformował o poddaniu miasta. Hitlerowcy wkroczyli do Gniezna od razu biorąc zakładników, rozstrzelali 12 września gестапо, mimo usilnej interwencji lekarza Niemca, zabralo ze szpitala ks. mjr Zabłockiego. W dwa dni później wyrokiem kapturowego sądu polowego Wehrmachtu w Inowrocławiu został on skazany na śmierć i natychmiast rozstrzelany.

W niedzielę 11 listopada 1939 r. już o piątej rano rozpoczęło się bestialskie akcje wyrzucania Polaków z ich mieszkań. Wyszędzenia trwały aż do stycznia 1943 roku. Bardzo wiele rodzin gnieźnieńskich znalazło się w Piotrkowie. W wymienionym okresie wysiedlono do Generalnej Guberni z samego Gniezna ponad 10 tys. osób, a miasto posiadało wówczas ok. 33 tys. mieszkańców. Inni znaleźli się w Rzeszy na przymusowych robotach, jeszcze inni w obozach koncentracyjnych.

nich, skąd nigdy nie wrócili. Bestialski mord dokonany został na przełomie 1939 i 1940 roku, kiedy to wymordowano dwa tysiące pacjentów szpitala psychiatrycznego w Gnieźnie.

Niedawno jeden z moich rozmówców, obywatel RFN powiedział z przekonaniem:

„Naród niemiecki popełnił ogrom zbrodni i nieprawości. Ale w nieskończoność nie możemy o tym mówić. To szkodzi obu stronom.”

W nieskończoność nie możemy o tym mówić... Nawet jeżeli jest to logiczna racja, to odpowiedź gnieznanom, którzy mają świadomość faktu bezkarności do dziś żyjącego w RFN „godnego obywatela”, pana Otto von Fricka, prezesa krajowej organizacji uchodźców i przesiedleńców w Dolnej Saksonii, redaktora i deputowanego z tamienia CDU do Bundestagu? A to pan von Frick kierował wysiedleniem Polaków z Gniezna, miał rangę SS-obersturm-führera. To on na gnieźnieńskiej odprawie SS-manów nakazywał bezlitosne postępowanie wobec Polaków, dodając: „Trzeba ich wyteplić jak pluskwy!”

Pamiętają gnieźnianie szefa gestapo Marrecka, pamiętają kierownika Arbeitsamtu dr. Stierlinga...

Z piotrkowianinem Marianem Bentyntem zwiadałem pomnik Tysiąclecia w Gnieźnie, bo Marian jest od wielu lat dyrektorem technicznym tamtejszego przedsiębiorstwa specjalizującego się głównie w produkcji luster. Jest on nowatorem w zakresie technologii szkła, posiada wiele wdrożonych patentów, a pięć lat ze świętami i urlopami zabiera mu praca, oczywiście po godzinach służbowych, nad przygotowaną do druku „Technologią lustrarstwa” (ponad 300 stron). Zna Mariana, pani Krystyna pochodzi z Sulejowa i jest córką żołnierza majora „Hubala”, zamordowanego w obozie koncentracyjnym.

A w Piotrkowie od prawie czterdziestu lat mieszka rodowity gnieźnianin mgr Kazimierz Marweg, dyrektor naczelny znanej w świecie huty szkła gospodarczego „Hortensja”. Urodził się w Gnieźnie, to chodził do gimnazjum, gdy wybuchła wojna. Ojciec jego stał się jednym z pierwszych zakładników przygotowanych na rozstrzelanie w przypadku samoobrony gnieźnian, cudem uniknął śmierci, ale wkrótce rodzina Marwegów z setkami, tysiącami innych rodzin została wysiedlona, właśnie do Piotrkowa...

Główna ekspozycja Muzeum Początków Państwa Polskiego zawiera uzyskane w Gnieźnie i w całej Polsce eksponaty datowane od czasów prastawiańskich do kresu dynastii Piastów, czyli śmierci Kazimierza Wielkiego (1370). Dużym powodzeniem cieszą się organizowane w muzeum-pomniku wystawy czasowe. Od czerwca do września licnie odwiedzana była wystawa malarstwa i grafiki 1795–1918, zorganizowana przez Muzeum Narodowe w Warszawie — „Droga do niepodległości”. Dzieła tu zgromadzone ukazują w jaki sposób pod zaborem sztuka polska była narzędziem walki o świadomość narodu dążącego do niepodległości państwa polskiego.

Duże wrażenie czyni na zwiedzających inna wystawa: srebra zebrane go przez społeczeństwo polskie w latach 1936–1939 na fundusz obrony narodowej. Po Warszawie i Katowicach wystawa znalazła się w Gnieźnie. Na długich stołach, jak do smutnej uczty przygotowanych, sterylnych srebrnych papierosów, w większości z dedykacjami, niektóre z podobiznami drogiego serca kobiet, srebra stołowe, srebro srebrnych zegarków, kielichy, lichtarze.

Na długich stołach, jak do smutnej uczty przygotowanych, sterylnych srebrnych papierosów, w większości z dedykacjami, niektóre z podobiznami drogiego serca kobiet, srebra stołowe, srebro srebrnych zegarków, kielichy, lichtarze.

Eksponowano tu 800 kg z ok. 2,5 tony zebranego do września 1939 r. srebra. Tego nie zdołano już przetworzyć w działka ppanc, czołgi, samoloty, czy cekaemy. A na ścianach sali ekspozycyjnej ogromne fotostaty przedstawiały uroczystości przekazania 11 cekaemów, czołgu i fundowanego w 1937 r. przez społeczeństwo rybnickie, samolotu typu „Łoś”...

Srebro zwrócone zostało stosunkowo niedawno przez władze francuskie.

SKĄD NASZ RÓD

Było deponowane w Tuluzie, dokąd dotarło w czasie wojny drogą Bukareszt — Konstanca i morzem...

Mgr Andrzej Ciałyński, jeden z czołowych setki merytorycznych pracowników muzeum, pokazuje nam największy w Polsce gobelin historyczny wystrój, ale wnętrza będą już nowoczesne, z wygodami, a na parterach przybędzie sklepów i lokali usługowych o powierzchni 7–8 tys. m kw., gdy dotychczasowa powierzchnia handlowo-usługowa Gniezna, to 25 tys. m kw.

Specyfika gnieźnieńska — słyszę — ofiarne świadczenie na rzecz miasta przez załogi zakładów pracy, głównie na wspomnianą rewolucyjną i podziemne przeobrażenie miasta. Nakłady finansowe i rzeczowe w pięcioletniej 1976–80 wniesione przez zakłady pracy grubo przekroczyły zaplanowaną kwotę 68 mln, a wkład zakładów w latach 1981–85 ma być prawie potrójny. Najbardziej ofiarne są załogi: Cukrowni (dyr. E. Warczyński), Zakładów Garbarskich (dyr. Z. Wiśniewski) i Wielkopolskich Zakładów Obuwia „Polonia” (dyr. H. Jasiński)...

O czym by tu można mówić — słyszę na każdym kroku — gdyby nie nasze ludowe, socjalistyczne inwestowanie w przemysł! Przed wojną były w Gnieźnie niewielkie zakłady, jak cukrownia, fabryka wódek Kasprowicza, fabryka powozów braci Waberkskich (tradycja pozostała — dziś można wynająć powozem pojechać do ślubu w USC). W 1936 roku zarejestrowano w mieście ok. 2,5 tys. osób bez pracy, co łącznie z rodzinami wynosiło ok. 7 tys. osób, czyli prawie jedną czwartą mieszkańców. Okresami liczba osób w wieku produkcyjnym pozabawionych pracy sięgała 9,5 tys. Lata trzydzieste przyniosły wiele przejawów robotniczego buntu.

W 1960 roku w Gnieźnie zatrudniano 16 tys. osób, a w 1978 — 26 tys., z czego 12 tys. kobiet. Kilka lat temu oddano Wielkopolskie Zakłady Obuwia (4 tys. zatrudnionych, głównie kobiet, 5 mln par obuwia rocznie), Fabrykę Galanterii „Lech”, Fabrykę Samochodów Rolniczych „Polmo”, Fabrykę Maszyn i Urządzeń Pakujących „Spomasz”, Poligonową Wytłórnice Elementów Prefabrykacyjnych i in.

Dziś w Gnieźnie, jak w całej Polsce każdy ma pracę. Wywniósł się inny problem jeszcze bardziej dynamicznego rozwoju kraju: jej poszanowanie, jej wyższa jakość. Gnieźnianie dbają o pracę, o jej coraz wyższą jakość. Przewodzą w tym dziele dobrej roboty gnieźnieńska organizacja partyjna zrzeszająca 27 proc. wszystkich załóg nionych. Gnieźnianie pamiętają: przed wojną na nieco ponad 30 tys. mieszkańców miasta było 18,3 tys. izb (nie mieszkań), prawie jedna piąta mieszkańców znajdowała się na poddaszach i

tys. futer popielic! Ale od połowy XVII w. wojny, zarazy i zmiana szlaku handlowego na Litwę i Ruś powodują podupadanie Gniezna. W 1744 roku było ono miastem wymarłym: zarejestrowano zaledwie 60 mieszkańców! W ówczesnym Gnieźnie stało się stolicą województwa gnieźnieńskiego, co podkreśla się ostatnio. W 1793 roku znów Gniezno było godnym miastem królewskim z 500 domami i 3.400 mieszkańcami. Ale wtedy znów nadszedł wróg — miasto zostało wcielone do Prus. I znów się zerwało do boju, tysiąc walcących dostarczając w dniach Powstania Kościuszkowskiego, kiedy przybył tu gen. Dąbrowski. I zrywało się do boju później.

Poprzednio byłem w Gnieźnie przed trzema laty. Ogromne zmiany! Widać to na każdym kroku. W ramach rewolucyjnej Starówki w samym rynku przerabiała się rocznie 30 mln zł. Kamieniczki uzyskują historyczny wystrój, ale wnętrza będą już nowoczesne, z wygodami, a na parterach przybędzie sklepów i lokali usługowych o powierzchni 7–8 tys. m kw., gdy dotychczasowa powierzchnia handlowo-usługowa Gniezna, to 25 tys. m kw.

Specyfika gnieźnieńska — słyszę — ofiarne świadczenie na rzecz miasta przez załogi zakładów pracy, głównie na wspomnianą rewolucyjną i podziemne przeobrażenie miasta. Nakłady finansowe i rzeczowe w pięcioletniej 1976–80 wniesione przez zakłady pracy grubo przekroczyły zaplanowaną kwotę 68 mln, a wkład zakładów w latach 1981–85 ma być prawie potrójny. Najbardziej ofiarne są załogi: Cukrowni (dyr. E. Warczyński), Zakładów Garbarskich (dyr. Z. Wiśniewski) i Wielkopolskich Zakładów Obuwia „Polonia” (dyr. H. Jasiński)...

O czym by tu można mówić — słyszę na każdym kroku — gdyby nie nasze ludowe, socjalistyczne inwestowanie w przemysł! Przed wojną były w Gnieźnie niewielkie zakłady, jak cukrownia, fabryka wódek Kasprowicza, fabryka powozów braci Waberkskich (tradycja pozostała — dziś można wynająć powozem pojechać do ślubu w USC). W 1936 roku zarejestrowano w mieście ok. 2,5 tys. osób bez pracy, co łącznie z rodzinami wynosiło ok. 7 tys. osób, czyli prawie jedną czwartą mieszkańców. Okresami liczba osób w wieku produkcyjnym pozabawionych pracy sięgała 9,5 tys. Lata trzydzieste przyniosły wiele przejawów robotniczego buntu.

W 1960 roku w Gnieźnie zatrudniano 16 tys. osób, a w 1978 — 26 tys., z czego 12 tys. kobiet. Kilka lat temu oddano Wielkopolskie Zakłady Obuwia (4 tys. zatrudnionych, głównie kobiet, 5 mln par obuwia rocznie), Fabrykę Galanterii „Lech”, Fabrykę Samochodów Rolniczych „Polmo”, Fabrykę Maszyn i Urządzeń Pakujących „Spomasz”, Poligonową Wytłórnice Elementów Prefabrykacyjnych i in.

Dziś w Gnieźnie, jak w całej Polsce każdy ma pracę. Wywniósł się inny problem jeszcze bardziej dynamicznego rozwoju kraju: jej poszanowanie, jej wyższa jakość. Gnieźnianie dbają o pracę, o jej coraz wyższą jakość. Przewodzą w tym dziele dobrej roboty gnieźnieńska organizacja partyjna zrzeszająca 27 proc. wszystkich załóg nionych. Gnieźnianie pamiętają: przed wojną na nieco ponad 30 tys. mieszkańców miasta było 18,3 tys. izb (nie mieszkań), prawie jedna piąta mieszkańców znajdowała się na poddaszach i

w mrocznych suterrenach, większość to mieszkania jedno-, z górą dwuizbowe. Dziś przedstawiciele władz miasta mówią: główny problem — to mieszkania, jeszcze bardziej musimy intensyfikować budownictwo mieszkaniowe. Ale spośród 62 tys. mieszkańców dzisiejszego Gniezna, już więcej niż połowa zamieszkuje w największych osiedlach Winiary i Tysiąclecia (po 15 tys., z tym, że na Winiarach będzie wkrótce 25 tys.). „Każdy gnieźnianin — powiada prezydent Kaszuba — może otrzymać działkę na budownictwo jednorodzinne...” I parę tysięcy osób mieszka już we własnych domkach z ogródkiem...

Muzeum Początków Państwa Polskiego. Teatr im. Fradry, więc festiwal sztuki fredrowskiej, Miejski Ośrodek Kultury. Międzynarodowy Klub Prasy i Książki, 3 kina, zasobna biblioteka z filiami. Gniezno ma ambasadora w postaci chłopięcego chóru „Szpaki” (występy zagraniczne), coraz większym uznaniem cieszy się robotniczy chór „Dzwon”. W tym roku w dniach 2–9 września odbyło się II Piastowskie Lato Poezji — ogólnopolska impreza, i to udana — jest zasługą miejscowych działaczy kultury i warszawskich gnieźnian — studentów, bądź już absolwentów UW, którzy stworzyli w Gnieźnie grupę literacką „Drzewo” i prężnie działającą „elitarną” twórców, jak się określa poetów, z młodzieżą szkolną, z załogami zakładów pracy i mieszkańcami polskich gmin, mogą gnieźnianom poznać organizatorów innych tego typu inicjatyw w kraju — ambitnych a jednak funkcjonujących na zasadzie wolności na puszczy...

Od wielu lat ukazują się w Gnieźnie „Przemiany Ziemi Gnieźnieńskiej” — miesięcznik, który zdaniem czytelników niepotrzebnie przy takiej częstotliwości ukazowania się periodyku, przesadza z kronikarską informacją zamiast „siedzieć” w zgłębianej publicystyce, skupiać miejscową inteligencję.

Od roku Gniezno przyznaje nagrodę dla zasłużonego działacza kultury. Nagroda nie ma jeszcze nazwy. Gdzie jak gdzie, ale w Gnieźnie nie brak twórców na trwałe hasło wywoławcze. Przykłady były wyżej. Przykładami może być inna doroczna impreza — sierpniowa „Gniezno rodzi Piastów” z Jarmarkiem Bartłomiejskim, z imprezami plenerowymi typu światło — dźwięk, wystawami i przeglądami twórczości. Nowe formy propagowania i udostępniania sztuki prowadzi powstała w 1976 roku „Deza”. Tu znalazła miejsce interesująca Galeria „Nova”. Działła młodo, ale już prężnie Stowarzyszenie Miłośników Gniezna pod przewodnictwem i sekretarza KM PZPR — dr inż. Kazimierza Jankowskiego.

I jeszcze specyfika gnieźnieńska. Coraz liczniejsze elementy metaloplastyczne — dzieła miejscowych rzeźmników-artystów, zachęcające do odwiedzenia lokali gastronomicznych i usługowych. Tablice z nazwami ulic zdobio herb Gniezna — biały orzeł piastowski na czerwonym tle. Każda z ulic, nosząca nazwisko konkretnej postaci pozyska wkrótce trwałe tablice z krótkimi życiorysami. Niech każdy wie kim był Stanisław Miłostan, pierwszy w ludowej Polsce sekretarz PPR w Gnieźnie, wcześniej żarliwy działacz KPP. Niech przypomina sobie, zwiedzając prastare Gniezno, kim był Chrobry, Czarniecki, Kollataj, Kiliński. I to, że nim powstała Polska już istniało Gniezno, a nazwa Gniezno wywodzi się z centrum — gniazda skąd nasz ród.

JERZY
KISSON-JASZCZYŃSKI

DOKUMENT

Dalszy ciąg ze str. 3

ce „Walcący Gryf” wydanej nakładem „Czytelnika” w r. 1963 napisał o nim: „Por. Czesław Malaszkiewicz, dowódca baterii przeciwlotniczej, wywalczył przez wywiad, że Stukas, które straszyły nas, startują z lotniska w Babin Doie. Wycekal przez cały dzień, aż wieczorem, kiedy Stukas powróciły na lotnisko, skierował na nie gwałtowną kanonadę. Zza lasu buchnął słup ognia. Podobno zostało zniszczonych kilkanaście Stukasów”.

Kraków, Wielkanoc 1973 r.
Utraciwszy z Panem kontakt wiosną 1947 r. wiedziałem, o Pańskim istnieniu jedynie z Pańskich publikacji książkowych, które, jako księgarz, od r. 1961 miałem przyjemność sprzedawać swym klientom.

Przesyłam Panu serdeczne gratulacje z okazji wydania ostatniej książki. Zdobylem „spod lady” jedyny egzemplarz, który jest od prawie dwóch miesięcy w czytaniu przez moich kolegów z roczników zapisanych na długą kolejkę, którzy zbyt późno zorientowali się, że przegapili okazję nabycia pierwszej książki o Wrześniu, napisanej dla najszerszych mas (a przede wszystkim dla naszych dzieci i wnuków) z sercem i „ku pokrzepieniu serc”.

Witold Wróblewski
Autor listu był oficerem operacyjnym w sztabie 21 dyw. piechoty górskiej gen. Kustrońskiego. Te wysoka ocena wystawia „Bitwę polskiego Września” Apoloniusza Zawilskiego.

Głiwice, 23 października 1973 r.
Kupilem książkę Pana „Bitwę polskiego Września” i czytałem ją bez oderwania prawie całą noc. Znalazłem się nareszcie ktoś, kto zebrał ogrom materiału i spróbował uratować od zapomnienia tamte dzieje. Ja jestem również z tych, co w tamtych dniach byli zaangażowani. Walczyłem w grupie „Sandomierz” pod dowództwem ppłk. Antoniego Sikorskiego, w 6 baterii 55 pol nie istniejącego w czasie pokoju, a zmobilizowanego w Dyminach (Kielce) z rezerwy 2 pol. W zgrupowaniu od Kielc aż do Tomaszowa Lub., a w zasadzie do wsi Młów wytrwała tylko nasza tj. 6 i 12 bateria, inne uległy po drodze rozproszeniu. Była to ostatnia nasza bitwa. Stąd, po wyczerpaniu się amunicji i na skutek piekielnego przemęczenia, zmuszeni byliśmy pójść do niewoli.

Ważne jest to, że Pan przeprowadził tak żmudną pracę i zebrał Pan taki materiał... w jedną całość i dał czytelnikowi poważne świadectwo o naszej prawdziwej wrześniowej, przykrej, ale godnej chwale. Książka Pana stanie się bez wątpienia podręcznikiem do nauki historii tych czasów. My, pozostali, nie licząc już uczestnicy, jesteśmy wdzięczni Panu za tę żmudną pracę. Cokolwiek historia o nas powie, to musi powiedzieć i tę prawdę, że byliśmy jedną jedyną armią wolną, która odbudowała świat z letargu i pokazała jak należy

LISTY O WRZĘŚNIU

walczyć z bezprawiem i poprowadzić świat do zwycięstwa.

Bolesław Grzesik

Autor listu zbiegł z niewoli niemieckiej i wstąpił do podziemia.

Pyskowice, 5 lutego 1979 r.

Na wstępie pragnę serdecznie Panu pogratulować pasji pisarskiej i temacie tak bliskim sercu każdego uczciwego Polaka.

Ocali przed zapomnieniem tę wielką ofiarę narodu w walce o wolność — ta Polska postać jest godna uznania przez całą Ojczyznę, a przede wszystkim winniśmy wyrazić Panu to uznanie my, żołnierze z tamtych dni oraz ci wszyscy, którzy czytając Pańskie „Dzieła” za doznania i przez Pana wzburzone szlachetnie

wzruszenia poczuć się Pańskimi dłużnikami. Dlatego i mnie niech będzie wolno powiedzieć Panu „serdecznie dziękuję” i jestem przekonany, że wraz ze mną także słusznie powtórzą to od siebie 35 milionów obecnie żyjących Polaków i Polek, oraz że pokolenia, które szczęśliwie od nas, po nas przyjdą.

Myśli i duchy żołnierzy Września będą wiecznie krążyć nad polami bitew, bo od tych świętych wielkości i wspomnień ani ciała, ani ducha z nas, Polaków, oderwać już nigdy i nikt nie zdoła.

Dr Bronisław Kawka

Podczas kampanii wrześniowej autor listu walczył w szeregach Wołyńskiej Brygady Kawalerii.

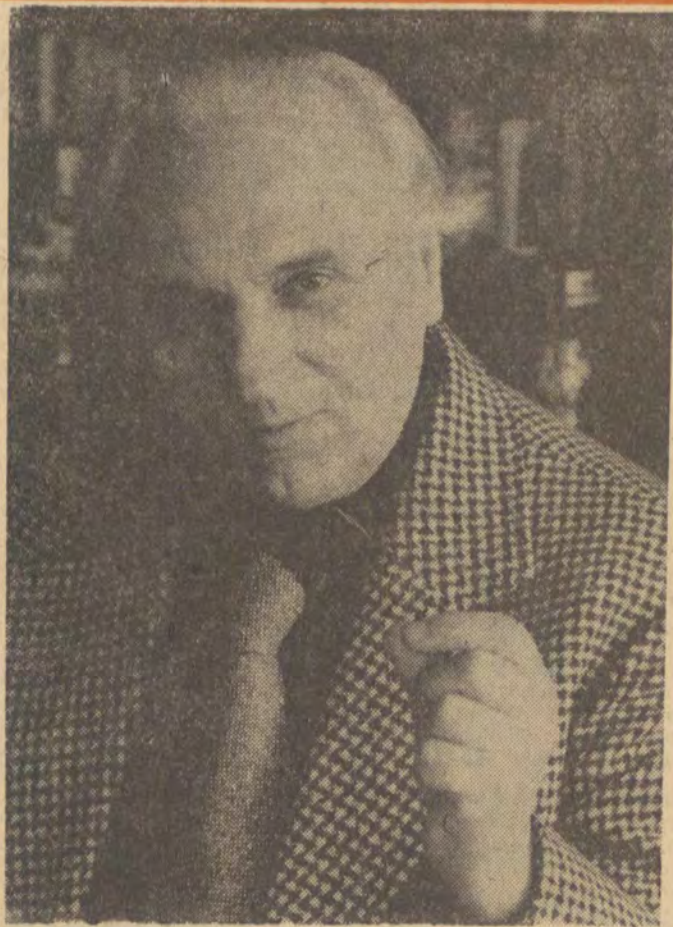
Warszawa, 4 marca 1974 r.
Myślę, że „Bateria została” wejdzie na trwałe do literatury. A za mroźną pracę tygodni „Bitwę polskiego Września” będą wdzięczne pokolenia.

Jerzy Zinkiewicz

Autor listu, żołnierz Września pracował po wojnie w szkolnictwie m. in. na stanowisku naczelnika wydziału w Ministerstwie Oświaty.

TRZEBA ZGŁĘBIAĆ PRAWDĘ

Warszawa, 27 maja 1979 r.
Należę do dość szybko odchodzącego ostatniego pokolenia żołnierzy Września 1939 i jako były żołnierz 10-myjskiego 33 pułku Strzelców Kur-



Najważniejsza była nauka płynąca z różnorodnych kontaktów z ludźmi, przedstawicielami różnych zawodów. Foto: R. Łucyszyn

Moje trzydziestopięcioletnie związanie jest z Łodzią. Znalazłem w tym mieście dach nad głową, pracę i chleb. Zbudowałem nowy dom rodzinny. Znalazłem nauczycieli i przyjaciół. Spotkałem i osoby niechętnie, ale o nich, jako dla mnie nie istniejących, nihilistów bene. Przyjechałem do Łodzi w lutym 1945 roku z Lublina. We wrześniu 1939 roku zostałem zmobilizowany w Chełmie Lubelskim. W lutym 1945 r. zaproszono mnie do pracy w tygodniku „Wies”. Traktowałem to wydarzenie jako drugą mobilizację. Przenieśliśmy się do Łodzi z innymi pismami „Czytelnika”. Nasz zespół, kierowany przez Jana Aleksandra Króla (ludowca, partyzanta, posła na Sejm, a przede wszystkim bystrego publicystę) redagował także przez kilka miesięcy tygodnik „Chłopi”. Był to organ Związku Samopomocy Chłopskiej. Wydaliśmy również kilka numerów „Zielonego Sztandaru”. W pewnym więc okresie jeden zespół wydawał jednocześnie trzy pisma. Pracowaliśmy „w pocie czoła”. To był dla mnie okres bardzo ważny. Jezeli powiem, że od początku znalazłem się na pierwszej linii frontowej (jak inni dziennikarze, publicyści, pisarze), to może zabrzmi sztucznie, ale jest to prawda. W wiecie lat później zaczęły się ukazywać powieści, które nawiązywały do mojej działalności. Rozumiałem konflikty bohaterów tych powieści, o których pisałem, że stał na granicy dwóch światów: tego, który odchodzi, i tego, który powstaje. Myślnie się znajdowali w takiej samej sytuacji. Nasza „Wies”, jak i późniejsza „Kuznica” drukowana była w zakładzie graficznym na ul. Żwirki 2. Z mojego domu dochodziło się tam przez pole. Tak nazywałem się od czasu, ale Kościuszki od Bandurskiego (dzisiejszej Mickiewicza) do Żwirki, który był zabrakowany i istotnie przypominał zapuszczone

pole, albo raczej ugor, porośnięty zielskiem i chwastami. Po lewej stronie tego ugoru rosły drzewa, prawa strona, gdzie dziś stoi budynek Komitetu, była oddzielona wysokim parkanem.

Ta część miasta — od Żwirki do Andrzeja i Tuwima (na ul. Piotrkowskiej 96) mieściła się, redakcje pism wydawanych przez spółdzielnię „Czytelnik” — jest moją pierwszą „małą łódzką ojezuzną”. Na tym obszarze mieściły się najważniejsze instytucje, do których zachodziłem: Związek Literatów, redakcje pism, drukarnia. I oczywiście dom rodzinny. Granice tego świata stopniowo się poszerzały. Wyjeżdżałem w teren na różnego rodzaju spotkania. Poznałem nowe wsie, nowe miasta i nowych ludzi. W roku 1945 odbyłem pierwszą większą wyprawę reporterską na Mazury. Być może, że tamte wrażenia zrodziły późniejsze zainteresowania tematyką Warmii i Mazur, co znalazło wyraz w takich powieściach, jak „Narodził się Gerty”, czy „Cienie na Piaskowej Górze” i „Ciche jeziora”.

Pracowałem kolejno niemal we wszystkich pismach społeczno-kulturalnych (oprócz „Kuznicy”), które po wojnie ukazywały się w Łodzi. Były to: „Wies”, „Łódź Literacka”, „Łódź Teatrana”, „Kronika”, „Odgłosy”. Pełniłem różne funkcje w tych pismach. Chleb redaktorski poznałem jeszcze przed wojną: byłem w 1938 r. sekretarzem redakcji „Orki na ugorze”. O tym piśmie pisał Kazimierz Koźmiewski w „Istocie”. „Historii co tydzień” (jak również w „Rocznym cieniu”) i „Pierwszej bitwie z gestapo”. To też nie ta strona doświadczeń była dla mnie najważniejsza. Najważniejsza była nauka płynąca z różnorodnych kontaktów z ludźmi, przedstawicielami różnych zawodów. Tutaj litania nazwisk jest tak

duża, że ograniczę się jedynie do dwóch, którzy już odeszli: Stanisława Fietako i Stanisława Czernika. Jezeli jeszcze dodam, że nie ma prawie wsi na obszarze dawnego województwa łódzkiego, której bym nie odwiedził (a przecież wyjeżdżaliśmy do innych części Polski) to wzruszenia i przeżycia, jakie ze sobą przywoziłem, musiały wywierać wpływ na to, co pisałem. Osobny rozdział to spotkania z robotnikami i dzielnymi w mieście. Pisałem o tych spotkaniach w felietonach i reportażach. Swojego czasu Związek Literatów zawarł porozumienie ze Związkiem Włóknarzy w sprawie współpracy. Literaci mieli się opiekować klubami i świetlicami przyzakładowymi. Zachodziłem do fabryk, rozmawiałem z ludźmi. Ten bardzo bogaty i frapujący materiał czeka wciąż na swoje opracowanie. Zajmował się tym zagadnieniem dr Józef Marczak, który kieruje placówką badawczą przy Zarządzie Głównym ZZPPWOiS, ale mnie chodzi o zapis literacki.

Ostatnią placówką, w której pracowałem, było Wydawnictwo Łódzkie. Do 1974 roku byłem tam kierownikiem redakcji społeczno-politycznej. Mam również za sobą pracę w Korespondencyjnym Gimnazjum i Liceum ZMP (w 49 roku po przeprowadzce tu). „Wies”, do Warszawy i do dość ciekawego okresu pracy w WFF, gdzie byłem tzw. redaktorem dramaturgicznym. Kierownikiem redakcji był wtedy Tadeusz Mrozowski, który potem przeszedł do Wydawnictwa Łódzkiego. Był między nami także Henryk Jakubczyk, późniejszy redaktor TV. Pojawili się na krótko, przed objęciem funkcji dyrektora Wydawnictwa Łódzkiego niezwykły już Aleksander Postolow, zaprzyjaźniony wówczas bardzo z Waldemarem Babiniczem, który opiekował się Uniwersyteciem Łódzkim w Rożni. Babinicz też nie żyje.

Jednocześnie pracowałem społecznie, przede wszystkim na terenie oddziału łódzkiego ZLP. Byłem wybierany do poszczególnych zarządów oddziału. Współpracowałem ze związkami zawodowymi, ze Związkiem Włóknarzy, z wydziałem kultury WRN. Ale własnego życiorysu nie można podzielić na trzy odrębne i niezależne wątki. Praca w redakcji, praca społeczna i twórcza. Wszystkie trzy stanowiły jedną całość. Myślę, że nie rozstawiałem wielu problemów, które postawiłem w swoich książkach, gdyby nie doświadczenia nabyte w redakcjach i pracy społecznej. Czy można zresztą dokonać takiego podziału w pracy pisarskiej? Powiedziałem, że „szuka nie jest sposobem ucieczki od świata realnego, jako możliwość przeniesienia człowieka w świat artystycznej wizji, ponieważ zakłada się, że ówa fikcja ma głębokie powiązanie z wybrnymi elementami rzeczywistości istniejącej lub możliwej” (I. Wojnar „Perspektywy wychowawcze sztuki”). Mnie dotychczas interesowały przemiany zachodzące na wsi. Być może dlatego, że dzieciństwo i młodość upływały „mi” w krajobrazie wiejskim. A może dlatego, że jest to naprawdę jeden z najbardziej frapujących tematów. Dlatego cykl powieściowy, który ja nazywam (dla własnego użytku) „borynowskim” (od „Powtórnej śmierci Boryna” dedykowanej Lipom), wsi Reymonta i Janinie, wsi Ojca, jest dla mnie jeszcze nie zakończony.

Nie oznacza to, że nie interesuję

się tematem „miejskim”. W bieżącym roku ukaże się powieść „Anta”, dedykowana „Rodzinom włóknarzy”. Pracuję nad inną powieścią tego cyklu. Dopiero dzisiaj, po 35 latach, wydaje mi się, że krajobraz Łodzi wrósł w moją duszę i pozostanie w niej tak mocno, jak krajobraz wsi.

Mojej wypowiedzi najchętniej dałbym tytuł „Szukanie przyżni”. Albowiem trudno jest mówić ocając miną, o „wszystkim” — wszak owe 35 lat to całe dojrzałe życie. O wielu sprawach tutaj nie powiedziałem. A wątek przyjaźni przewija się przez całe życie. Mówiąc o spotkaniach z ludźmi na wsi i z robotnikami w fabryce, sygnalizowałem narodziny tej przyjaźni. To jest chyba sprawa najważniejsza. Odnalezienie drugiego człowieka, którego by się rozumiało i szanowało. Mogłbym wymienić wiele nazwisk, które w moim życiu zapisały się, jak to jest napisane w jednej z powieści „srebrnymi literami”. Do takich zaliczam (żeby mówić tylko o tych, których już nie ma pośród nas) Stanisława Czernika. W grudniu minie dziesiąta rocznica jego śmierci. Pracowałem z Czernikiem w zarządzie Oddziału Związku Literatów Polskich w Łodzi, spotykałem się z nim także na innych polach. Pisałem na jego temat. Mówię o nim na spotkaniach z czytelnikami. On także zainteresował się niektórymi moimi książkami. W jednym z felietonów opisałem kiedyś przygodę, jaka spotkała moją powieść „Dziadek i Róża” na konkursie ogłoszonym przez WRN, ZLP i Wydawnictwo Łódzkie. Czernik był jednym z jurorów. Powieść nagrodzono, ale na posiedzeniu sądu konkursowego Czernik dość surowo ją potraktował. Podzielił się potem ze mną swoimi uwagami. Skorzystałem z niektórych i do Wydawnictwa złożyłem poprawioną wersję. Po ukazaniu się książki podarowałem ją Czernikowi. Po kilku dniach Czernik zaprosił mnie do siebie i powiedział, trzymając książkę w ręku: „Panie Tadeuszu, skrzywdziłem pana”. Oto największa recenzja, jaką uzyskałem. I w tych słowach jakże piękny portret pisarza. Gdybym się nawet z Czernikiem nie spotykał i tak wywnioskował wpływ na mnie. Napisałem mu na jednej z książek dedykację: „Nauczycielowi w sztuce słowa i w sztuce życia”. Niechże ta anegdota zastąpi szczegółową relację o Czerniku.

Któż nie ma nauczycieli w swoim życiu? Czasami nauczyciel towarzyszy nam niemal przez całe życie, a czasami pojawia się na krótko. Spotykamy się z nim jak na stacjach kolejowych. Są takie epizodyczne spotkania, które nie uciekają z pamięci. Spotkałem w dzieciństwie człowieka, który podarował głodnemu chłopakowi bochenek chleba. Zapamiętałem jego rekę wciągniętą do chłopca. I oto po latach pojawia się ów człowiek w powieści „Piszę o nim w „Cichych jeziorach”. Bohater odwiedza po wojnie zniszczone miasteczko, w którym spędził lata szkolne. „Boję się także — opowiada — pójść na małą — ślepa uliczkę, w mieszczonej gdzieś w pobliżu rynku, zapomniałem jej imienia, a może to była w ogóle ulica bez nazwy. Miał tam swoją piekarnię stary Żyd z broda, siedział wciąż za kontuarem, palił długą fajkę, pamiętam ostre zapachy tytoniu. Zaszedłem raz do niego, byłem

głodny, nie miałem grosza przy duszy. Stałem przed nim maleńko, ko, powiedziałem, że chcę kupić chleba, ale pieniądze mi wyszły, zapłacić potrzebuję. Dał mi świeży pachnący bochenek. Nie przypomniał sobie, czy mu oddałem pieniądze, czy nie. Nie zaszletem więc na tę ulicę, bo chciałem, aby ten dom żył dalej, i ten człowiek żeby żył”.

A oto inna postać, znana przed wojną uczniom kieleckich szkół: stary antykwariusz, ratujący w potrzebie lekturę. Jest on pierwowzorem postaci powieściowej w „Dziadku i Różę”. Życie mojego bohatera zakończyło się we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. Do miasta weszli okupanci i Praja ich pierwsze ofiarą.

Oto znowu wędrowny sprzedawca starych książek, broszur i lekarstw. Odrusowałem go kilka razy. Między innymi jest to postać Mundzia w „Cieniach na Piaskowej Górze”. Mundzio cały rok wędrował od wsi do wsi, od miasta do miasta, zawsze miał worek różnych wieści. Opowiadał nie tylko o wypadkach, kłóskach, jakie nawiedzały inne okoliczności, ale także o polityce. Miał w swojej drewnianej skrzynce, którą nosił na plecach, same bogactwa: lekarstwa na niemal wszystkie dolegliwości, na bóle zębów, głowy, reumatyczne. W osobnej przegródzie były świecidełka i pierścionki dla dziewcząt, książki do nabożeństwa, powieści zasygnowane. Trafiła się też literatura poważniejsza. Były to ulotki komunistyczne. Ale te literaturę Mundzio trzymał na samym dnie swojej skrzyneczki. Mundzio przynosił ze sobą tyle ciekawych historii, że czekałymi wszyscy na jego przybycie z niecierpliwością. To jest jedna z tych postaci, która na zawsze się utrwaliła w pamięci. Powieściowemu Mundzio skończył tak samo jak Praja. Niemcy go powiesili na sosnie, pod którą zazwyczaj odpoczywał.

Czasami człowiek, którego znamy tutaj nauczycielem (próbujemy go potem sportretować w powieści), nie znano się osobiście. W trakcie pracy nad „Dziadkiem i Różą” znalazłem w jednej książce fotografię oficera radzieckiego i wzmiankę: „Dowódca plutonu, Jaszka — Jakub Salnowski, leżant Armii Radzieckiej. Zbiegł z niewoli niemieckiej i wstąpił go GL w marcu 1943 roku. Zginął 30 lipca 1944 roku jako dowódca jednej z grup AL stanowiących ochronę pierwszych sesji Łódzkiej Wojewódzkiej Rady Narodowej”. Otóż Jaszka uczynił bohaterem książki. Związałem, choć na krótko, losy dwóch ludzi, bohaterki, którą nazywam w powieści Strójna, i Jaszki. Strójna powieściowa także oplačuje Jaszke, którego pokochała, i z którym walczyła przeciwko najeźdźcy.

Bohaterowie ze wsi czy z miasta, którzy pojawiają się w moich opracowaniach. Spotykałem ich w życiu. Rozmawiałem z nimi. Zmuszałem mnie do tego, abym brał udział w ich radościach lub smutkach. Abym ich rozumiał. Te rozmowy zostały, na zawsze utrwalone w sercu, wzbudziły (jak mówił Czernik) „wzruszenie realne najpierw, a poetyckie później”. W czasie wojny straciłem swoich bliskich. Nasz dom hitlerowcy nie nagłeni sytuacją bojową zlozili podpalili. W Łodzi odbudowałem ten dom i zatrudniłem go nowymi przyjaciółmi.

piowskich, w pierwszym rzędzie odszukałem fragmenty dotyczące walk SGO „Narew” i 18 Dywizji Piechoty, w ramach których walczył mój pułk macierzysty.

Znalazłem niestety, powtarzane za „Polskimi Siłami Zbrojnymi” i artykułami płk. Majora Kiewicza nieścisłości, a nawet błędne informacje dotyczące walk 33 pułku.

Drobniejsze nieścisłości dotyczące dat i nazw miejscowości w tak szeroko zakrojonej tematyce książce byłyby do straszenia... Z obywateli jednak i bolesnym zdumieniem przeczytałem podaną w nawiasie informację: 33 pułk broniący Łomży uległ chwilowej demoralizacji w lesie Szumsk.

(33 pułk Strzelców Kurpiowskich) jedyny w 18 Dywizji piechoty, osamotniony i skrajnie słabszy, w wyniku nieprzemysłanej decyzji sztabu SGO „Narew” o przegrupowaniu sił w rejon Różan, przez 5 dni powstrzymywał wielokrotnie przeważające siły XXI korpusu gen. Falkenhörsta na obrzymim, rozciągniętym 65-cio kilometrowym łuku środkowej Narwi, dla obrony którego pułk musiał być rozczłonkowany nie tylko na bataliony, ale nawet kompanie, plutony i drużyny.

Na rewersie Krzyża Wirtuti Militari widnieje hasło — „Honor i Ojczyzna”. Przelana krew i szczerki poległych z honorem za Ojczyznę znanych i nieznanym żołnierzom 33 pułku Strzelców Kurpiowskich domagają się prawdy historycznej.

Zdzisław Rożnowski

Uwagi p. Rożnowskiego dotyczą „Bitew polskiego Września”. Autor listu był podczas kampanii wrześniowej adiutantem taktycznym III baonu 33 p Strzelców Kurpiowskich. Wydawa-

ne w Londynie „Polskie Siły Zbrojne” zawierają, niestety, więcej nieścisłości a nawet wypaczeń.

Katowice, 27 lutego 1973 r.

W książce „Bitwy polskiego Września” podaje Pan, że III batalion 11 pp Majora Bajtlika trzymał się upórzywie w planowej Kolonii Ksany.

Powyższa relacja niezupełnie odpowiada rzeczywistości. III baonem, który walczył w ramach pułku, mjr Bajtlik dowodził tylko do dnia 4.09.39 r. Pod Trzebiną w dniu 4.09.39 r. III baon 11 pp — po zaskoczeniu ogniem czołgów 5 niemieckiej dywizji pancerniej — został zepchnięty z osi odwrotu pułku. Wymanewrowany baon bez 7 komp 11/23 p próbował przebić się do pułku drogami polnymi na północ od Olkusza.

11 pp — po przybyciu w dniu 5.09.39 r. w rejon Oleandrów do Krakowa — został uzupełniony. W miejsce utraconego III baonu wcielono do 11 pp Baon Forteczny mjr Józefa Cwiakalskiego i od dnia 5 — 20.09.39 r. dowódcą nowego III baonu był mjr Cwiakalski. A zatem w bitwie pod Ksanami dnia 8.09.39 roku upórzywie trzymał się na stanowiskach III baon mjr Cwiakalskiego, a nie mjr Bajtlika.

Antoni Głobiński

Autor listu był w czasie kampanii wrześniowej adiutantem 11 pp. Józef Cwiakalski, o którego się upomina, przebywał na emigracji w Anglii.

KULTYWOWAĆ PAMIĘĆ

Głiwice, 10 marca 1974 r.

Z zawodu jestem prawnikiem, a z zamiłowania przewodnikiem górskim. Interesuję się także historią Drugiej Wojny Światowej. Dlatego też postanowiłem dla potrzeb szkoleniowych Kola Przewodników Górskich przy Politechnice Śląskiej w Gliwicach, do którego należę, napisać krótką monografię na temat działań bojowych we wrześniu 1939 r. na terenie polskich gór. W pracy tej bardzo przydatna jest mi, między innymi, Pańska nader interesująca książka „Bitwy polskiego Września”, którą uwzględniłem w przedmowie.

Z pańskiej książki wynika, że utrzymuje Pan liczne kontakty z byłymi oficerami Wojska Polskiego, którzy brali udział w kampanii wrześniowej. Ja takich znajomości nie posiadam prawie zupełnie, ponieważ urodziłem się pięć lat po zakończeniu wojny.

Dlatego, o ile możliwe, prosilibym o wskazanie adresów byłych oficerów armii „Kraków” i „Karpaci”. Sądzę bowiem, że ich bezpośrednie wspomnienia, o ile nie były jeszcze publikowane, mogłyby nam, przewodnikom, wiele wyjaśnić z historii działań wrześniowych, a my tę wiedzę stale rozpowszechniamy słowem mówionym innym podczas swojej pracy, a zwłaszcza kolejnym rocznicom studentów, których wprowadzamy po górach.

Roman Comi

Nie wiemy, niestety, czy zamiar autora listu doszedł do skutku.

Poznań, 31 sierpnia 1979 r.

Jak co roku w dniach 8—9 września urządzamy spotkanie byłych żołnierzy Armii „Poznań” na Ziemi Kutnowsko-Łęczyckiej. Spot-

kanie w 40-tą rocznicę agresji hitlerowskiej na Polskę ma szczególny charakter. W tym roku przypada również 10-ta rocznica, kiedy w strasznych bólach rozdzieli się Muzeum Bitwy nad Bzurą. Wróżono mu rychły zgon. Tymczasem wytrzymało próbę czasu — duża w tym zasługa przemilej Pani Mariewskiej, dyr. Muzeum Oporu. W roku bieżącym kończymy również upamiętnianie jednostek, które walczyły nad Bzurą.

W gronie byłych żołnierzy Armii „Poznań” jest Pan człowiekiem wysoce szanowanym. Zapraszamy.

Józef Krzyżaniak

Autor listu jest pułkownikiem w stanie spoczynku. Podczas uroczystości w Kutnie odsłonięto tablicę upamiętniającą bohaterstwo żołnierzy Armii „Poznań” i „Pomorze”. Lotników 3 poznańskiego i 4 toruńskiego pułku lotniczego oraz Batalionów Obrony Narodowej, które walczyły w składzie Armii „Poznań” i „Pomorze”.

Tyle garść listów z archiwum pisarza, stanowiąca maleńką czastkę korespondencji na temat Września. Przylączając się do apeli komendantów wojny obronnej Polski w r. 1939 apelujemy o jak najszersze wznowienie „Pitew polskiego Września”. Apoloniusza Zawilskiego Czekają na nią z równą niecierpliwością młodzi czytelnicy, którym, na szczęście, nie było dane poznać smaku wojny.

Opracował: KONRAD FREJDLICH

ROSTACIE AKTORA

Ryszard Romanowski

Bardzo chciałem być aktorem. Studiowałem na Wydziale Aktorskim Łódzkiej PWSFTiTu. Na egzaminie nie „zabysnęli”, tylko pokazali siebie. Przedstawili to, co jest ich trwałą wartością, to, co się zdobywa przez całe życie.

Chcę tworzyć nowy teatr dla ludzi, bo rozumieją swoje ludzkie potrzeby. A jeżeli tego nie osiągną to chociaż stworzą nowe kreacje — nowe wartości sztuki aktorskiej. Sztuka, która winna być bliska ludziom. Nie jest to pycha, bo chcą do tego dążyć z całym uznaniem dla dotychczasowych osiągnięć. Jednak na nowo będą poszukiwali w sobie wartości tak potrzebnych innym ludziom. Oby tylko zachowali swą indywidualność — to wszystko, co głęboko w nich jest, by umieli to z siebie wydobyć. A są to rzeczy wspaniałe, mogą błyskać urokami ich młodości.

„Dlaczego podjąłem te studia? To jest bardzo osobiste pytanie. Wiąże się z całym moim życiem... Pochodzę z rodziny inteligentnej. Ojciec był technikiem włókiennictwa. Matka jest po liceum ekonomicznym, pracuje w banku. Mam starszą o cztery lata siostrę. Studiowała filologię polską... Był konflikt między ojcem i matką, i siostrą przerwała studia... Rodzice mnie inaczej wychowywali niż ja... Siostra jest bardzo inteligentną osobą. Ma ogromne ambicje i słaby charakter, słabą wolę i dyscyplinę. Ojciec był alkoholikiem, ale wspaniałym człowiekiem. Siostra z nim nie rozmawiała... Ojciec dawał mi zawsze wolną drogę wyboru. „Postępuj zawsze zgodnie ze swoim sumieniem” — mówił... Matka miała ambicję w stosunku do mnie, ponieważ siostra ich nie spełniała. Trudno było jej pogodzić się z tym, że zdaje do szkoły aktorskiej... Wiele rzeczy przeżyłem, ale nie wszystko jak chciałbym... Bardzo dużo czytałem bajek. Siostra mnie tym zainteresowała. Jest to świat nierealny, ale piękny. Ona dotąd żyje w tym nierzeczywistym świecie... Teraz jestem ateistą, ale byłem chrześcijanin. W czwartej klasie szkoły podstawowej zrezygnowałem z kościoła. Ojciec też był ateistą tylko matka wierzyła... W piątej, szóstej klasie zainteresowałem się mitologią grecką. Cztery lata z siostrą wyznawaliśmy greckie bóstwa. Zaczęło się od Parandowskiego, Gracasa. Gravesa nas zainspirował, wzburzył pasję do wiary... Grecy bogowie są bardzo ludzcy. Umiąłem z wielu rzeczy zrezygnować, bo żyłem w świecie bajek... O zawodzie aktora zacząłem myśleć w szóstej klasie. Nie wiem dlaczego... Ojciec kiedyś krótko grał w teatrze, nie marzył jednak o karierze aktorskiej. Starał się przeżyć życie jak najpełniej... W szkole łódzkiej są w większości ludzie z rodzin rozbitych. Może taka sytuacja wywołuje większą wrażliwość? Teatr jest tym światem, który pozwala na przeżycie wielu spraw najpełniej... Nie cały czas o nim myślałem, ale nie było to nigdy rezygnacją całkowitą... Chciałem być nauczycielem w szkole podstawowej... Rozumiałem natóg ojca i nie miałem do niego żalu. Tylko ja mu byłem przychylny. Był człowiekiem bardzo mądrym. Umarł w listopadzie. Popchnął samobójstwo. Ja też myślałem wcześniej. Dzięki niemu żyję. To było, gdy chciałem zrezygnować z liceum drewnianego, pracować i żyć samemu... Zdałem do szkoły warszawskiej. Nie zdałem. Zdałem na historię nauczycielską, ale za późno i powołano mnie do wojska. Po roku służby zdawałem na studia aktorskie do Łodzi. Zobaczyłem się pierwszym na liście, z największą ilością punktów z przedmiotów artystycznych... Ty-

ko jeden kolega we mnie wierzył, ja sam wątpiłem... Przeżyty zawód życiowy był przyczyną podjęcia przeze mnie studiów aktorskich. Przeżył przyczynę się do tego, że byłem dojrzały... Chciałem żyć normalnym życiem — to zdecydowało... Oczekuję po teatrze spełnienia tego wszystkiego czego nie miałem do tej pory... Gdyby ktoś inny był w podobnej sytuacji i oczekiwałby spełnienia marzeń, przeżył to w teatrze czy w szkole teatralnej pod warunkiem, że nie stanie się „artystą”, że będzie wyrobił sobie warsztat. Jest to jedyny sposób dojścia do czegoś”.

Inni mówili podobnie. Wydobywali z przeszłości te fakty, które miały znaczenie dla ich rozwoju, dla ich dojrzewania. Nie zawsze to były przeżycia trudne, ale zawsze głębokie. Dzięki nim mogli lepiej zrozumieć siebie, rozumieć też innych. Rodziło to chęć do życia pełnego, realizacji tego, czego nie udało się dotychczas osiągnąć. Różnym zbiegiem okoliczności w teatrze dostrzegli możliwość rekompensaty dotychczasowych niepowodzeń. Dostrzegali w nim dziedzinę dostatecznie szeroką, by w niej spożytkować ciężar zdobytych doświadczeń. Zyskali specjalny rodzaj wrażliwości, który musiał znaleźć właściwą dziedzinę realizacji. Zrodziła się też chęć, by robić coś dobrze i z pasją. Za co jednak mogą się brać, gdy niewiele dotychczas udało im się stworzyć konkretnego, co miało znaczenie dla innych i dla nich samych, gdy odkryli swą niedoskonałość? Muszą pracować nad sobą.

Jak mało jest szkół, które wszechstronnie interesują się swoimi uczniami. Takie możliwości widzą kandydaci na aktorów w szkole teatralnej. To głównie czyni te studia tak atrakcyjnymi dla współczesnej młodzieży. Młodzi ludzie widzą tu możliwości wszechstronnego rozwoju. Wiedzą, że tu mogą i muszą być autentyczni. Nadzieja, że będą tu stwarzane ku temu warunki pozwala przełamać wstyd pokazywania samego siebie. Zaś refleksja rodzi przekonanie, że jest to pozytywne, gdy będą konkretni, gdy będą patrzyli na przedmioty i zjawiska w sposób prosty, jak najprostszemu i reagowali po swojemu tylko na rzeczywiste bodźce. Na egzaminie najbardziej byli przekonujący, gdy istota ich aktywności odnosiła się do konkretnych zjawisk. A oto jak swa drogę do tej szkoły pokazała obecna studentka.

„Moim marzeniem już w szkole podstawowej było być podziwianą. Potem zaczęłam się tego wstydzić, że jest to zbyt egoistyczne, płaskie... Interesowało mnie środowisko aktorów, ale nie miałam żadnych kontaktów. Chciałam tworzyć coś nowego, żeby inni ludzie mi tego zazdrościli. Wtedy byłam pewna siebie... Dopiero w liceum zaczęła mi się podobać praca nad tekstem... ze w zdaniach można wykręcać różne rzeczy, że można się zastanawiać nad każdym słowem, że każde słowo ma jakąś wartość... Myśl, żeby być sławną opuściła mnie, zeszła na drugi plan... I się bawiłam tym tekstem... Cieszyłam się, że mogę być różnymi postaciami. Grałam w teatrze amatorskim... Momentami nie wiedziałam kim jestem. Zastanawiałam się kim być. Chciałam pracować w różnych zawodach i zawód aktora tę sprawę rozwiązywał... W trzeciej, czwartej klasie liceum przyszło rozumiem. Byłam bliska rezygnacji. Bolał mnie konflikt z ojcem. Byłam pewna, że są lepsze ode mnie, chociaż wiedziałam, że dużo potrafię. Bolał się czy w szkole podobał, czy będzie się mnie rodzice stać coś nowego i czy nadążę za wymaganiami”.

Potrzebna jest wiara w siebie, wiara w doskonałość ludzkiej istoty. Obecni studenci uważają, że nie może być nic ważniejszego od zadania, które wykonują. Nie może im rozpraszać. Zgubić może też sukces, który nie rodzi zadania następnego, większego, trudniejszego. Starają się więc trzymać konkretnie, chcą być konkretni, ale jednocześnie starają się swe zadanie rozumieć wszechstronnie. Nie mogą dopuścić do zahamowania i ograniczenia swej myśli. Niech wzbogaca ją uczucie. Do wszystkiego chcą podchodzić z pasją, która przełamie stereotyp codziennego traktowania przedmiotów i zjawisk. Chcą być zdyscyplinowani. Dyscyplina nie pozwoli im zejść na manowce. Czasami ktoś może im w tym pomóc. Ktoś, kto niczego nie uczy, lecz tworzy warunki samodzielnego rozwoju. Dzięki temu wyzbywają się oporów wewnętrznych, które nie pozwalają im postępować tak, jak chcieliby. Wiara w siebie dawała im możliwość realizacji zadań z organiczną konsekwencją. Obiektywne warunki, w których żyli, przyczyniły się do rozwoju ich osobowości, zwiększając ich samoświadomość i przez to kształtowały indywidualność poszczególnych jednostek. Powiedzieć następnej studentki jest przykładem takiego dojrzewania do studiów aktorskich.

„Sprawa ciągnęła się od wielu lat. Zaczęło się tak strasznie banalnie: dom kultury, kółko żywego słowa... Ale był tam cudowny człowiek, ten, który je prowadził. Był aktor — emeryt. Umiął zarazić tym bakcylem. Miałam wtedy siedem lat. Nasza grupa trzymała się razem. Robiliśmy ćwiczenia jogi i inne na skupienie... Nie było to typowe kółko. Nie nastawialiśmy się na występ. Pracowaliśmy dla własnej satysfakcji... Ten człowiek traktował nas jak aktorów... Dotrwaliśmy do drugiej, trzeciej klasy szkoły średniej... Były wyprawy do teatru... Cały czas jestem pod tym wpływem... Chodziłam też na kółko plastyczne. Cały czas spędzałam w domu kultury... Cała ta przygoda skończyła się śmiercią tego aktora... Był aktorką było moim marzeniem. Było to bardzo idealistyczne — być kimś innym. Byłam chorobliwie nieśmiała. Tym bardziej zawód ten wydawał mi się nieosiągalny. Zostanie aktorką porządkowo traktowałam jako przeświadczenie przygody. Potem w starszych klasach myślałam o trudnościach tego zawodu. Stawiałam sobie konkretne pytanie czy jest sens... chociażby ze względu na zdrowie... Sporo też robiła sytuacja rodzinna — była nie najlepsza. Trzecia, czwarta klasa była okresem takich pytań. Wiele mnie dopiero przed maturą... Zdawałam na inne studia i do szkoły warszawskiej. Po pierwszych eliminacjach odpadłam... Pojechałam do filmu „Dulscy”. Spędziłam tam trzy miesiące. Traktowałam to jako przygodę i dlatego to zdecydowałam. Przez rok pracowałam w galerii dzieł sztuki i przygotowywałam się do egzaminu w łódzkiej szkole... Jest dobra opinia o Łodzi, że łatwiej, że lepszy kontakt z rodzicami... Przyczyną mojej decyzji była chęć ciekawego życia... Formy wolności. Uważanie się od monotoni życia... Szalenie mobilizuje w ruchliwość, płynność, ciągłe poszukiwania... Teatr. Kwestia filmu? Nie, bo dość trzeźwo patrzę na przyszłość... — to nie jest droga życiowa, żeby robić pieniądze”.

A jak realizować swe plany życiowe? Jak żyć zgodnie z idealami, którymi ludzie kończą szkołę średnią są przepelnieni? Wierzą, że muszą w swym życiu czegoś dokonać. Otworzą się przeciw świat i ludzi. Chcą dużo w tym świecie

zmienić, by był bardziej ludzki. Chcą zacząć od siebie. Otworzyć się na wszystko co ich otacza, rozumieć głęboko naszą rzeczywistość, lecz koniecznie trzymać się realiów, by nie popaść w iluzję. Głęboko rozumieć siebie, widzieć w sobie człowieka. Ludzkie potrzeby traktować jako swoje, osobiste. Żyć blisko ludzi i mieć do nich serdeczny stosunek. Zrozumieć jak bardzo potrzebni są nam inni. Tylko żyjąc z grupą i w grupie można się rozwijać. Być sobą można tylko w interakcji z innymi — wtedy tylko dochodzą do celu, który sobie postawili. Cel ten ciągle konkretyzują, a jednocześnie starają się go ująć szeroko i dogłębnie. Musi być tak spójny, by obejmował i teatr i rzeczywistość, by ich teatr stał się tą rzeczywistością.

Na pierwszym roku studiów aktorskich głoszą młodzi ludzie bardzo ambitne idee. Oby tylko ich nie zagubili. Oby były one coraz ściślej precyzowane, realizowane i rozwijane dalej na studiach i potem w teatrze. Oby były też konsekwentne, by wiedzieli czego w życiu szukają, czego naprawdę chcą. Idee te są różnego pochodzenia. Najważniejsze, by je głęboko rozumieli, by mogli łączyć głęboko rozumianą sztukę aktorską z ich osobistym niebanalnym życiem. Jak różnorodne były doświadczenia intelektualne studentów świadczy wypowiedź jeszcze jednego bohatera tej intymnej rozmowy.

„Chciałem mieć kontakt z teatrem, z literaturą... Przez literaturę do teatru... Urodziło się to już w podstawówce. Wierszyki, teatr szkolny... To była intuicja i łatwość w tym kierunku — łatwość przetwarzania w sobie pewnych wartości i ich przekazywania. Potrzeba i chęć emocjonalnego spalenia się. Od dwu lat to chęć wypowiedzenia siebie — chęć zabawy, zabawy w teatrze... w podświadomości chyba chęć porażania się... Obudził się we mnie duch wnielenia światła od dwu lat, od kontaktu z grupą ludzi z teatru „Ochoty”... „Pan Cogito” wzbudził mnie do głębszej analizy świata... Byłem też w drugiej grupie zawodowej między muzyką, filozofią i poezją. To nas łączyło... i chęć bycia we wspólnotie... Razem uciekałyśmy ze szkoły do lasu. Chcieliśmy być w lesie razem... Była to grupa o pewnej filozofii — młodzieżowa fascynacja filozofią chrześcijańską i hinduską.

Szukaliśmy „ludzi żywych” — za Dąbrowskim — żeby ludzi martwych ożywić... Graliśmy w kościele na mszy ballady o własnych tekstach i muzyki Chłubińskiego nie tylko śpiewali, ale i kościół zmienił, żeby był konwencją a potrzebą... Inaczej interpretowaliśmy religię... Ułożyliśmy balladę o piątym Chrystusie... Grupa ta się potem rozpadła — dwóch wyjechało... Moja ideologia jest utopijna, ale się chyba zmienia, cel nie, tylko sposób realizacji przez brak kontaktu z grupą”.

Teraz znaleźli się w nowej grupie. W grupie dwudziestu jeden osób, które miały różne doświadczenia, ale pod same, które z czasem starają się wspólne: rozwijać się wszechstronnie, a więc i korzystać wzajemnie ze swych przeżyć. Chęć, by ich rozwój był animowany przez teatr, by ich osobiste doświadczenia życiowe były w nim wykorzystywane. A teatr żeby stanowił pasję ich życia, by był drogowskazem ich prywatnych poczynań. Bo przecież w teatrze jest chyba najlepsza okazja przemyslenia swego ludzkiego losu. Wspólnych przemyslenia spraw, które nas wszystkich dotyczą.

ŚRODOWISKO

Po raz trzeci mam okazję zabrać głos w sprawie parku na Zdrowiu. 14 maja 1972 roku, kiedy zamiar liczył sobie dopiero kilka miesięcy, a przypomnieć wypada, iż narodził się w umysłach działaczy Frontu Jedności Narodu i po akceptacji władz miejskich natychmiast został podchwycony przez redakcję „Głosu Robotniczego”, odtąd owego czasu pisałem z umiarkowanym niepokojem o tej wielkiej łódzkiej inwestycji, której budowa obliczona została na jakieś 8—10 lat.

Kości zostały rzucone! Na budowę miała złożyć się bezpłatna, dobrowolna praca ludzi, którym w zakresie sił i maszyn — równo pięćdziesiąt procent wszystkich kosztów — przyrzekło udzielić pomocy miasto.

Kompetentni działacze zobowiązali się nadzorować i synchronizować zbiorowe wysiłki. Niezmordowany „Głos Robotniczy” reklamował akcję permanentnie. Telewizja, radio oraz pozostałe łódzkie gazety wspierały inicjatywę z entuzjazmem. Wiece rozniósł się po całym kraju. Na ścianach domów ukazywały się plakaty z planami parku.

Zawrót głowy. Sześćset hektarów soczystej zieleni, wśród której między innymi, miały znaleźć się takie obiekty, jak:

Muzeum Sztuki Współczesnej.

Pomnik Czynu Rewolucyjnego 1905 roku.

Letni Teatr Estradowy.

Zespoły basenów kąpielowych.

Ogródki dziecięce.

Zespół gastronomiczny: kawiarnie, bary i restauracje, bez których nie ma przecież prawdziwego wypoczynku.

Obserwatorium astronomiczne, które przynajmniej częściowo mogłoby zbliżyć do wielkiej myśli Kopernika w erze zdobywania Kosmosu.

Kilka dużych boisk sportowych.

Wesołe miasteczko, nie mające sobie równego w Europie.

Tereny wystaw i widowisk plenerowych, które mogłyby stworzyć nowe perspektywy artystom.

Ośrodków wypoczynkowo-rekreacyjnych dla ludzi w każdym wieku.

Motel.

Odpowiednio rozbudowane ZOO i

innych obiektów.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

Wszystko to miało być realizowane w ciągu kilku lat.

wiecie można spotkać w dni pogodne społeczne bratki pracy. Ubiegłoroczna akcja „Głosu”, która polegała między innymi na przyjmowaniu ofert różnych instytucji, gotowych zrobić to i owo dla parku, zaczęła się rzeczywiście. Są w biurze Budowy imienne listy ochotników, są spisane czarne na białym

bry rok i między początek. Gazety,

radio i telewizja podtrzymywały o-

gie entuzjazmu; już nie tylko na

ścianach domów można było zoba-

czyć wizję przyszłego parku; widzia-

no ją także w pochodach pierwszo-

majowych w zakładach pracy, a na-

wet na dachach tramwajów.

Dziś jednak, u schyłku siedemdzie-

siątego dziesiętnego roku, kiedy od

narodzin pomysłu minęło już osiem

lat i Łódzki Park Kultury i Wypo-

czynku winien już być, wedle przy-

rzecz, prawie ukończony, rozra-

chunki z ambitnymi planami przed-

stawiają się raczej mizernie.

Owszem, wzniesione Pomnik Czynu

Rewolucyjnego i jest to piękny,

ekspresyjny monument.

Ala, proszę państwa, nie licząc

pomnika i wspomnianych już base-

nów oraz pewnych prac, których do-

konano na terenie Ogrodu Botanicz-

nego (według opinii pracowników

tego obiektu, byłyby dokonane nie-

zależnie od planów całości), obraz

Parku nie uległ większej zmianie.

Wchodząc na teren Wesołego Mias-

teczka, czy — jak kto woli — Luna-

parku. Wbrew oprogramom, nie jest

to największa tego typu impreza na

terenie Europy, bo nawet w Polsce

znajduje się wiele lepszych i więk-

szych. Głośniki chrząli okrutnie, tak

że wielu dorosłych i dzieci zasłania

sobie uszy rekoma. Dochodzą do

jednego z bileterów i pytam:

— Gdzie mieści się źródło dźwię-

ku?

— Strasznie rzęzi, co? — przyta-

kuje starszy, sympatyczny pan i

wskazuje drewniany barak — To z

magnetofonu dzie, o, tam, w bujny-

ku kierownictwa.

Wchodzę do baru, z trudem pa-

nując nad nerwami (środa, 12 wrze-

śnia, godz. 16.15).

— Pani nie słyszy co dzieje się w

głośnikach na dworze?

ANDRZEJ MAKOWIECKI

PARK KULTURY I WYPOCZYNKU

Ogród Botaniczny z Palmiarnią (al-

piniarnia, kaskady).

Pomiędzy poszczególnymi objekta-

mi, wzdłuż i w szerz parku, karso-

wać miała krzeselkowa koleśka Hno-

wa, a w najbardziej nawałnym, za-

złoczoną punkcie przewidziano

dwupoziomowe przejście.

Przyrzeczono, że nie padnie „przy

okazji” ani jedno drzewo, ba! posad-

ził się w czynie społecznym wiele

innych.

Pamiętam, że kilkakrotnie wybra-

łem się wówczas na Zdrowie. Plany

planami gazetami — a tu ci-

cho, sennie, nikt społecznie nie pra-

cuje, ośmieliłem się więc, wbrew

powszechnej euforii, napisać w „Od-

głosach”, iż popierając wielką idee,

pcwątplewam trochę w końowy

efekt. Moją sceptycyzmu nie la-

godził fakt, że budowa planowana

była na OSIEM — DZIESIEĆ LAT

i że „mamy” w związku z tym ma-

se czasu...

W rok później, 22 lipca 1973 roku,

zająłem się sprawą po raz drugi i

nagle pomyślałem, że nie jest tak

źle... Pisałem:

„Na placu przy alei Unii oraz na

terenie Ogrodu Botanicznego” rzeczy-

podjęte przez nich zobowiązania”.

— Jak jest z egzekucją tych zo-

bowiązań? — pytałem wówczas dy-

rektora Parku Kultury i Wypoczy-

nu w Budowie, Tadeusza Dwojackie-

go oraz jego zastępcę, Mirosława

Obarskiego.

— Jest dobrze.

— Nikt nie próbuje się wykrecać?

— W zasadzie nie. Trzeba jednak

pamiętać, że niektóre zakłady

borykają się z własnymi trudnościami

i nie zawsze mogą zrealizować pra-

cowników do prac społecznych.

Młodzież szkolna, milicjanci i żoł-

nierze posadzili podobno na Zdrowiu

STO TYSIĄC nowych drzew. Do-

trzymam więc słowa. Sporo także

działo się na terenie byłego miastecz-

ka zlotowego, po którym został uz-

brojony, rzęście oświetlony teren.

W jednym z baraków gdzie mieści-

ło się biuro budowy basenów, roz-

małwiałem z kierownikami, inżyn-

Jeszcze nie wszędzie odśpiewano „Gaudeamus”, jeszcze wietrzą się rektorskie gronostaje. Podobno w Łodzi tylko rektor Politechniki ma prawdziwe. A już od nowa odżyły przytłumione nieco podczas wakacji dyskusje obracające się wokół tematu: kogo kształcić i jak kształcić? Bo też jest nad czym dyskutować. Proszę wskazać inny problem społeczny równie silnie powiązany z aspiracjami zawodowymi, zatrudnieniem, sytuacją demograficzną, prestiżem społecznym, poziomem nauczania, organizacją szkolnictwa czy wreszcie nastrojami społecznymi i poczuciem sprawiedliwości?

W tym roku w Łodzi studia na pierwszych latach rozpoczęło przeszło 4 tysiące studentów. O przyjęcie ubiegało się natomiast dwa razy tyle kandydatów, którzy najwyraźniej preferowali Uniwersytet. O indeks starość się tutaj 4 tysiące osób. Przeciętnie na jedno miejsce przypadało 2,4 kandydata. Największy tłok panował na kulturoznawstwie, gdzie było 6 kandydatów na 1 miejsce, etnografii — 5,8 kandydatów, pedagogice opiekuńczo-wychowawczej — 5,7, psychologii — 5,4, socjologii — 3,5 kandydatów na 1 miejsce.

Podobnie jak w latach ubiegłych zbyt mało osób zgłosiło się na chemię, fizykę i matematykę i na dwa ostatnie kierunki przeprowadzono we wrześniu ponowną rekrutację.

Ten odwrót od kierunków ścisłych w uniwersytetach i od studiów technicznych obserwujemy już od kilku lat. W Politechnice Łódzkiej np. o 1 miejsce ubiegało się w tym roku przeciętnie 1,43 kandydatów. I tak dzieje się nie tylko w Polsce. W świecie tłumaczy się tę sytuację obroną młodzieży przed nadmierną inwazją techniki. U nas bardziej przekonująco brzmi argument o obawach maturzystów przed trudnościami występującymi na studiach technicznych. Obawy są uzasadnione, gdyż przeciętny poziom nauczania matematyki i fizyki w szkołach średnich jest ciągle zaskakująco niski. (Kandydaci na studia błędnie interpretują np. podstawowe zjawiska fizyczne i chemiczne, nie potrafią myśleć matematycznie i rozwiązywać zadań).

Na Politechnikę Łódzką zgłosiło się w tym roku 2078 kandydatów, o połowę mniej niż w Uniwersytecie. Największym zainteresowaniem cieszyła się elektronika — 3,32 kandydatów na 1 miejsce, architektura — 2,8 kandydatów na 1 miejsce, inżynieria chemiczna — 2,8, fizyka techniczna i matematyka stosowana — 2,2.

Nie było natomiast tłoku na jedynę w Politechnice Wydziału Chemii Spożywczej (160 miejsc — 284 kandydatów) i Wydziału Włókienniczym (300 miejsc — 384 kandydatów).

Nie najlepiej jest zatem z informacją o tych kierunkach studiów i to informacją poszerzoną o stan i rozwój przemysłu chemicznego i włókienniczego, o których to wielu maturzystów ma zbyt tradycyjne, ba wręcz staroświeckie wyobrażenia.

W trzeciej, co do wielkości łódzkiej uczelni, Akademii Medycznej przyjęto na I r. studiów 594 osoby, czyli o 124 więcej, niż planowano w czerwcu. Na wszystkich wydziałach: lekarskim, stomatologicznym, farmaceutycznym i analitycznym zwiększono liczbę przyjętych. O jedno miejsce ubiegało się w Akademii 3 kandydatów, podobnie jak w Wojskowej Akademii Medycznej.

Ilością kandydatów ubiegających się o 1 miejsce bije wszystkie łódzkie uczelnie Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna. O każde z 6 miejsc na Wydziale Reżyserii walczyło tutaj aż 35 kandydatów, a na Wydziale Operatorskim — 24 kandydatów. O przyjęcie na Wydział Aktorski ubiegało się 240 kandydatów (24 miejsca), a na Organizację i Kierownictwo Produkcji — 70 osób (14 miejsc) w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych przyjęto 60 studentów spośród 335 kandydatów, a w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej 91 ze 140 osób, które przeszły już przez sito szkół muzycznych niższego szczebla.

Czy ów tłok na kierunkach humanistycznych i w szkołach artystycznych jest następstwem

wysokiego poziomu nauczania w szkołach średnich i rozwijaniu zainteresowań młodzieży? Niestety przeczą temu wyniki egzaminów wstępnych, a jak stwierdził rektor Uniwersytetu Łódzkiego na wrześniowym kolegium rektorów, tegoroczne egzaminy wypadły jeszcze słabiej niż w latach ubiegłych. Nie pomogło nawet wcześniejsze ujawnienie pytań obowiązujących na egzaminach ustnych. Na egzaminach z języka polskiego razi nieznanie gramatyki, ortografii i stylistyki, a w pracach pisemnych roi się od błędów. Sama widziałam pracę, której autor na trzech stronach papieru podaniowego popełnił aż 30 błędów ortograficznych.

MAŁGORZATA GOLICKA

JESZCZE WIETRZĄ SIĘ GRONOSTAJE

cznych. Jakże wymagania stawia się więc w jego szkole maturzystom, skoro nie potrafi nawet pisać poprawnie w języku ojczystym? Bardzo słabe wyniki odnotowano także na egzaminach z języków obcych, co jednak od wielu lat już nikogo nie zaskakuje.

Za poziom przygotowania kandydatów na studia najmniejszą winę ponoszą wyższe uczelnie i przyczyn owego stanu rzeczy należy szukać w znacznie niższych szczeblach szkolnictwa. I tam też, a więc już znacznie wcześniej dokonuje się pierwsza selekcja kandydatów na studia. Młodzież wiejska i małomiasteczkowa, z miernych szkół nie startuje przecież na studia z tej samej pozycji, co ich koledzy z doskonałych wielkomiejskich szkół. Nie mówiąc już o tym, ilu zdolnych uczniów z rodzin chłopskich w ogóle nie decyduje się na studia, wybierając szkoły zawodowe, a nie licea z których głównie rekrutują się kandydaci na studentów. Charakterystyczne, że wśród zdających trzeci lub czwarty raz do PWSSP nie ma kandydatów ze wsi, a przecież talenty plastyczne nie rozkładają się chyba „geograficznie”.

Wróćmy jednak do naszych studentów I r. W Uniwersytecie Łódzkim w bieżącym roku przyjęto o 85, a w Politechnice o 60 osób mniej niż w roku ubiegłym. Zwiększenie limitów w Akademii Medycznej jest wyjątkiem. W całym kraju ilość przyjętych na I r. studiów zmniejszono o 5 tysięcy; najwięcej w Warszawie i w Krakowie, a więc w miastach, w których notuje się najwyższe nasycenie kadry z wyższym wykształceniem.

Ograniczenia ilości przyjętych będą następowały stopniowo, tak, aby do 1985 r. utrzymać się w granicach 60 tysięcy studentów I r., po czym ma nastąpić znów wzrost liczby przyjętych.

Czy te ograniczenia są konieczne? Pytanie to dręczy zapewne niejednego kandydata, zwłaszcza spośród tych, którzy zdali, a nie zostali przyjęci z powodu braku miejsc. Z punktu widzenia materialnego zaplecza uczelni, warunków studiowania i podniesienia poziomu —

tak. Tylko w łódzkich uczelniach brakuje w tym roku 1600 miejsc w domach akademickich. W relacjach rektorów na ostatnim kolegium sytuacja wygląda wręcz dramatycznie, tych 1600 osób przyjętych na studia nie można przecież zostawić bez dachu nad głową.

Brakuje audytoriów. Np. w Politechnice Łódzkiej pięciu dużych sal na 180 osób każda i 10 małych na 40 osób. Ciasno jest w laboratoriach. W Akademii Medycznej zajęcia odbywają się na dwie zmiany, w rozproszonych po całym mieście budynkach Uniwersytetu wykładowcy i studenci narzekają na straty czasu, dojazdy i „okienka”.



Foto: R. Łucyszyn

Nie oszukujmy się. Baza szkolnictwa wyższego po prostu przestaje wystarczać. Na kierunkach eksperymentalnych i technicznych student musi mieć miejsce w laboratorium i to nowoczesnie urządzone, gdyż inaczej kształcenie miałoby się z celem. Podobnie jak musi mieć instrument w szkole muzycznej, a pracownię i materiały w plastycznej. Ostatnio właśnie z powodu braku wielu materiałów studenci nie mogą w terminie wykonać prac dyplomowych.

Nie wystarczy jednak, że student znajdzie się na liście przyjętych, musi mieć jeszcze warunki do studiowania. A takich, wszystkim chętnym na I r. studiów nie jesteśmy w stanie zapewnić. Nie ma chyba zresztą kraju na świecie, w którym studiowałby wszyscy, którzy chcą, bez żadnej selekcji.

Mniejsza ilość studentów pozwoli także na pracę indywidualną z młodzieżą, na faktyczne „studiowanie” i podniesienie poziomu.

I z tego punktu widzenia jest to posunięcie konieczne. Jeśli jednak spojrzymy na tę decyzję mając na uwadze możliwość dostępu do kształcenia (czy choć nauki można w ogóle uwa-

żyć za naganną?), wzrost ogólnego poziomu wykształcenia i kultury społeczeństwa — wówczas decyzje resortu nie są już dla nas tak jednoznaczne. Wprost przeciwnie, a przytaczanie argumentów co zyskuje się dzięki wyższemu poziomowi wykształcenia — zenują, bo jak sądzić są to raczej powszechnie znane i oczywiste.

Czy więc konieczne są ograniczenia w przyjęciach właśnie na kierunkach humanistycznych (filologia polska, neofilologia, historia, pedagogika i inne), do których studiowania potrzebne są przede wszystkim książki i wykładowcy. Dodajmy także, że są to studia najtań-

sze, kosztują o połowę mniej niż np. studia w Politechnice.

Inna sprawa, że powinny to być zupełnie inne studia niż obecnie. Problemów i znaków zapytania zresztą nie brakuje. I będzie ich jeszcze więcej, kiedy szkołę X-letnią opuszczą pierwsi absolwenci. Mało bowiem prawdopodobne, aby ze wzrostem średniego wykształcenia malał napływ młodzieży na studia wyższe. Zanim dzisiejsi drugoklasiści opuszczą szkołę średnią, mamy trochę czasu na zmianę poglądów, zwłaszcza dotyczących wykształcenia, które łączymy z wykonywaną pracą. A tymczasem studia wyższe, zwłaszcza uniwersyteckie nigdy do zawodu nie przygotowywały.

Ideałem byłoby gdyby tkaczka mogła studio-

wać np. historię sztuki i nie czuła się pokrzywdzona z racji wykonywanego zawodu. Nie wiem, czy na taką postawę zdobyłby się któryś z tegorocznych studentów przyjętych na I rok. I nie ma mu się co dziwić. W Polsce mamy specyficzny stosunek do pracy „umysłowej” i „fizycznej” i poglądy na miejsce inteligencji w społeczeństwie. Ciągnie się po prostu za nami nasza historia, o której ciągnie.

te działania? Na czym to dokładnie polega?

— O! chociażby na odchwaszczaniu alejek, wycinaniu samosiejów, wygrabianiu liści i zżętej trawy. Widział pan może teren wokół Pomnika Czynu Rewolucyjnego?

— Owszem, przechodziłem tam niedawno.

— Więc musi pan przyznać, że jest to obszar troskliwie uprzątnięty i zadbane.

Nie chcę kończyć tej relacji akcentem pesymistycznym. Aczkolwiek ambitne plany sprzed lat nie wypaliły, aczkolwiek Parkowi Kultury i Wypoczynku daleko do jego sumiennej nazwy, „Zdrowia” cieszy się przecież wśród łódzian wielkim, znacznie większym niż kiedyś, powodzeniem. W dni pogodne panuje tu prawdziwy tłok, z autobusów wycieczkowych, tramwajów i samochodów prywatnych wylaczają się tysiące ludzi, i każdy w końcu, młody i młody, znajduje tu dla siebie coś w miarę interesującego.

Owa zwiększona frekwencja świadczy jednak o tym, iż zapotrzebowanie na Park z Prawdziwego Zdarzenia jest duże, iż warto w niego inwestować, a więc wracać od czasu do czasu do narzeń sprzed ośmiu lat.

Łódź dźwignęła się od tego czasu ogromnie. Były, rzecz jasna, (i są!) budowy ważniejsze od „Zdrowia”, powstały nowe, wieloletnie dziełnice, szerokie przelotowe arterie, śródmieście w końcu, godne milonowej metropolii. Mamy uzasadnione powody do dumy.

Nie zmienia to faktu, że w wypadku „Zdrowia” szeroko reklamowany rozdmuchany na całą Polskę program pozostał nadal w sferze zamierzeń.

W STANIE SPOCZYNKU

jedna (samochodzik elektryczny) nie działa, właściciel za to działa i to owo, na innym terenie.

W bezruchu, mimo pogodnego popołudnia, tkwią karuzele, go-carty, hiszpański miły, sprowadzony za ciężkie pieniądze (trzy razy w sezonie jak się zakreśli, to dobrze); tak zwani „imprezowi” przychodzą do pracy, kiedy chcą i dorabiają sobie w porach zwiększonej frekwencji poza kasą. Ten od skuterów, da! Boże zdrowie, potrafi zarobić w dzień świąteczny więcej niż ty zarabiasz w ciągu miesiąca.

Krotko mówiąc — metlik i bala-gan Kolejki Górskiej, największa atrakcja Łunaparku, też owego dnia nieczynna.

Pytam:

— Dlaczego?

— Aaa — mówi „imprezowy” — tydzień temu, w poniedziałek dokładnie, mieliśmy wypadek. Prokurator, milirja, facet do dziś nie odzyskał przytomności, nie wiadomo w ogóle, czy żyje.

— Była jakas awaria?

— Skąd, panie, nie nasza „mina. pijany wsiadł, przejechał zdrowo całą trasę i dopiero na samym koń-

cu, kiedy kolejka zbliżała się już do mety, chciał głupiek wcześniej wysiąść i wyrzucił głową o ten, widział pan, metalowy słup. Przez własną lekkomyślność się doznał, sam pan rozumie...

Nie bardzo rozumiem. Przejechałem się dwukrotnie tą kolejką, silne emocje, i muszę stwierdzić, że nie

cu, kiedy kolejka zbliżała się już do mety, chciał głupiek wcześniej wysiąść i wyrzucił głową o ten, widział pan, metalowy słup. Przez własną lekkomyślność się doznał, sam pan rozumie...

No, ale coś Łunaparku!

Ci, co znają łódzkie Zdrowie i zapoznali się z przytoczonymi przeze mnie na początku planami jego zabudowy, zgodzą się, iż ambitne założenia sprzed ośmiu lat zostały zrealizowane w stopniu minimalnym.

Próbuję pojąć się z dziełem czynów społecznych, ale akurat nikogo tam nie ma. Rozmawiam też z panem Wiesławem Kłockiem, który reprezentuje ważny dział inwestycji.

— Co w najbliższym czasie zamierzacie zbudować na Zdrowiu?

— Z urządzeń kubaturowych to chyba tylko jeszcze jeden basen, ten w kształcie trapezu, ze sztuczną falą.

Na Zdrowiu jestem niemal codziennie, widziałem odgrodzony przewizorycznym płotem plac budowy tego basenu; są wykopy, wierz więc że sprawa wcześniej czy później zostanie sfinalizowana i park powiększy się o jeszcze jeden atrakcyjny obiekt. Ale co z pozostałymi?

Wiesław Kłock oświadcza, że fundusze, którymi dysponują, nie przekraczają 5 milionów złotych. Nie robimy sobie zatem większych nadziei. W latach najbliższych stan posiadania nie ulegnie zmianie.

Bądźmy jednak sprawiedliwi. Odkąd przed laty „Zdrowie” zostało przemianowane na Łódzki Park Kul-

ture i Wypoczynku, odkąd powstała dyrekcja i szereg oddziałów zajmujących się poszczególnymi obiektami terenu, dzięki i w pewnym sensie bezpieczni las otoczony został opieką. W biurze przy ulicy Konstytucyjnej składam wizytę kierownikowi Oddziału Konserwacji Terenów Zieleni, Leszkowi Gaworskiemu. Słowa, które padają z jego ust, znajdują potwierdzenie w rzeczywistości.

— Dużo się poprawiło. Wycieliśmy sporo soszu, uszczelniliśmy drzewa, które zagazowały bezpieczeństwu ludzi, przy czym drzewostan nie został uszczuplony. Uporządkowaliśmy ścieżki, wytyczyliśmy nowe drogi, postawiliśmy długie ciagi spacerowe, wysadzone różami, przykładem których może być chociażby aleja Michałowicza. Inne aleje, te między Klubem Sportowym „Energetyk” i Klubem Sportowym „Spolem” zostały wyasfaltowane. Wyregulowaliśmy główny staw, ten, gdzie kiedyś pływały łódki, brzegi wyłożyliśmy pustobetonami. Pozostałe stawy też wyglądają lepiej...

— Styszałem, że mają być zarybione.

— To nie jest jeszcze pewne, w

każdym razie postaramy się, aby w niedalekiej przyszłości stanowiły prawdziwą ozdobę terenu.

— A co z łódkami? Miałoby być przyzwoicie się do nich, były kiedyś, i to przez wiele, wiele lat, silnym magnesem „Zdrowia”. Likwidując je, zabraliście łódzianom coś bardzo drogiego, silnie związane z tradycją.

— Jest projekt, aby zbudować nową przystań i przywrócić łódki.

— To bardzo dobrze, bo wie pan: jeśli się robi bilans strat i zysków, jeśli się mówi: zbudowaliśmy pomnik i kompleks basenów, małocontentni zawsze mogą iom zarzucić: ale zlikwidowaliście kilka boisk piłkarskich, tych nie ogrodzonych, ogólnie dostępnych, będących prawdziwym rajem dla tysięcy chłopaków, no i wymazaliście z pejzażu Łodzi owe dwuwiosłowe, pocztowe łajby.

Kierownik Gaworski twierdzi nie bez słuszności, że prawdziwą zdobyczą parku jest oświetlenie. Kiedyś po zachodzie słońca panowały tu egipskie ciemności i było dość niebezpiecznie, teraz lampiony płoną już na wszystkich alejach i spóźniony spacerowiec czy też zakochane pary czują się tu dużo bezpieczniej.

Rozmawiamy jeszcze na temat inicjatywy społecznych. Akurat na tym odcinku (konserwacji zieleni) bezinteresowna pomoc ludności jest rzeczywiście widoczna i, jak oświadcza Leszek Gaworski, niedoszona.

— Nasz Oddział dysponuje zbyt szczupłą kadrą pracowników, aby utrzymać cały park w należytym porządku. Korzystamy zatem z pomocy różnych instytucji i zakładów pracy, dużo wnoszą czynny partyjne, o najwięcej szkole, które utrzymują patronat nad poszczególnymi obszarami przez cały rok.

— Czy mógłby pan skonkretyzować



Foto: Archiwum

Droga do dzisiejszych, wszechstronnie rozwiniętych kontaktów między PRL i NRD nie była w przeszłości wolna od różnorodnych przeszkód, wśród których niebagatelne znaczenie miały wzajemne uprzedzenia i urazy. Najistotniejszą sprawą w historii stosunków polsko-niemieckich stanowiąca niejednokrotnie przyczynę niepokojów w Europie, była kwestia granicy między obydwojoma narodami. Klęska Niemiec hitlerowskich w roku 1945 i jej formalno-prawny aspekt w postaci postanowień konferencji poczdamskiej sprawiły, że racje narodu polskiego — powrotu na przastare ziemie piastowskie — stały się faktem.

Odradzające się w nowych granicach państwa polskie od samego początku baczna uwa-

gę poświęcało obserwacji przemian zachodzących u zachodniego sąsiada. Należy przy tym podkreślić, iż mimo ciężkich doświadczeń wojennych strona polska dużo uwagi poświęcała sprawie ustanowienia i rozwoju normalnych kontaktów z partnerem zza Odry. Naprzeciw tym dążeniom wyszły skupione w radzieckiej strefie okupacyjnej niemieckie siły antyfaszystowskie i demokratyczne. W latach 1945—1949, a więc jeszcze przed utworzeniem Niemieckiej Republiki Demokratycznej, konieczność pokojowego ułożenia stosunków ze wschodnimi sąsiadami, a zwłaszcza uznania granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, były jedną z najważniejszych spraw w polityce wewnętrznej i partyjnej ówczesnej strefy wschodniej.

Świadczą o tym dowodnie fakty:

— Komunistyczna Partia Niemiec (KPD) już 11 czerwca 1945 roku w swoim pierwszym apelu skierowanym do społeczeństwa niemieckiego rzuciła hasło dokonania przełomu w stosunku do Związku Radzieckiego i innych wschodnich sąsiadów;

— powstała w kwietniu 1946 roku (z połączenia KPD i SPD) Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności SED, jako jedyna siła w okupowanych strefach wypowiedziała się za bezwzględny uznanie uchwał poczdamskich, łącznie z ich ustaleniami odnośnie granic i kwestii przesiedleń.

Powszechne uznanie granicy

mieckiego początkowo zwyciężyła — uchwały poczdamskie wytyczyły drogę do odbudowy demokratycznych Niemiec. Zgodność poglądów w tej kwestii była jednak krótkotrwała, szybko okazało się bowiem, że każde mocarstwo inaczej wyobrażało sobie realizację tego planu.

Jeśli dodamy do tego skomplikowaną sytuację międzynarodową, charakteryzującą się narastaniem tendencji zimnowojennych, to otrzymamy obraz trudności, na jakie natrafili siły niemieckie dążące do zbudowania socjalistycznego państwa niemieckiego.

Z drugiej strony istniały również okoliczności, które w poważnym stopniu ułatwiały

oficjalnie uznać układy poczdamskie i wynikające z nich konsekwencje nie tylko w stosunkach wewnętrznych, ale i na forum międzynarodowym. Premier Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Otto Grotewohl w exposé z 12 października 1949 roku oświadczył m.in.:

„Polityka pokoju i przyjaźni znajduje swoje uzupełnienie w stosunkach wzajemnych z krajami demokracji ludowej, a przede wszystkim z naszymi sąsiadami — nową Polską i Republiką Czechosłowacji (...). Dla nas granicą nad Odrą i Nysą jest granicą pokoju, która umożliwia stosunki wzajemne z narodem polskim”.

Strona polska z zadowole-

watpliwości i niedomówienia odnośnie zachodnich granic Polski i wschodnich granic całych Niemiec, bez względu na istnienie dwóch państw niemieckich (we wrześniu 1949 roku z trzech stref zachodnich, tzw. Trizonii, utworzono Republikę Federalną Niemiec).

Układ Zgorzelecki i nawiązanie serdecznej współpracy oznaczało jednocześnie początek kooperacji obu partnerów na forum międzynarodowym w walce o nienaruszalność status quo w Europie. I tak np. w odniesieniu do strony polskiej Układ sankcjonował dokonanie transferu ludności niemieckiej, miał również duże znaczenie dla stabilizacji życia obywateli zamieszkują-

TADEUSZ DUBICKI, KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI

SĄSIEDZI ZZA ODRY

na Odrze i Nysie Łużyckiej jako granicy pokoju przez społeczeństwo Niemiec Wschodnich nie było procesem łatwym i bezkonfliktowym. Przeciw granicy występowały siły polityczne skupione w partiach — VDP, NDPD, CDU wchodzących w skład oficjalnie działającego Bloku Partii Antyfaszystowskich. Spowodowało to konieczność wyeliminowania tak nastawionych polityków z kierownictwa tych partii.

Polaryzacja poglądów na przeszłość Niemiec, a więc ich ustrój, granice itp. występowały zresztą nie tylko w społeczeństwie niemieckim. Należy tutaj przypomnieć, że również zwycięskie państwa nie były zgodne w tej kwestii. Początkowo wśród przywódców państw anglosaskich dominował pogląd głoszący, że odpowiedzialność za wybuch II wojny światowej i jej skutki spada nie tylko na imperiaлизм i militarizm, ale także na cały naród niemiecki (tzw. Vansittartyzm). W związku z tym odmawiano niemieckim siłom postępowym prawa do prowadzenia samodzielnej działalności, postulując przy tym ukaranie całego narodu niemieckiego przez podział Niemiec, jak i przekształcenie ich w kraj surowcowo-rolniczy.

Stanowisko strony radzieckiej w tym względzie było odmienne — przeciwstawiała się ona koncepcji „ukarania narodu” i odrzucała myśl podziału politycznego Niemiec na małe państwa. Takie stanowisko wynikało z przeświadczenia o możliwości reedukacji narodu niemieckiego, który zdolny byłby odbudować nowe, jednolite, demokratyczne i pokojowe państwo niemieckie.

Radziecka koncepcja rozwiązania po wojnie problemu nie-

realizację tego zamierzenia. Wymienić tutaj trzeba przede wszystkim fakt, że strefa wschodnia była administrowana przez Związek Radziecki, który był zainteresowany w odbudowie i działalności niemieckich antyfaszystowskich partii i organizacji. Nie bez znaczenia było także szczególne zainteresowanie Polski i Czechosłowacji w przeprowadzeniu społecznych i ekonomicznych przemian w Niemczech.

Materiałną i społeczną bazą dla metamorfoz na terenie wschodnich Niemiec była demokratyzacja stosunków wewnętrznych, reforma rolna i likwidacja junkrów jako klasy, demokratyzacja szkolnictwa, usunięcie z administracji b. hitlerowców, uspołecznienie części przemysłu należącego do zbrodniarzy wojennych. Działające w okresie od 1945 roku do końca lutego 1949 roku komisje denazyfikacyjne przeprowadziły szeroką akcję, w jej wyniku ukarano sądownie 18.061 b. działaczy NSDAP.

Ogólny, demokratyczny charakter przemian zachodzących w radzieckiej strefie okupacyjnej znalazł swoje potwierdzenie w stopniowym nawiązywaniu kontaktów międzynarodowych. Początkowo, od roku 1947, główna siła przemian — SED, nawiązuje robotnicze kontakty z bratnimi partiami. Jej oficjalne delegacje odwiedzają kraje demokracji ludowej, przygotowując się do utworzenia Republiki.

Kiedy więc 7 października 1949 roku proklamowano powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, oznaczało to, że w centrum Europy powstało państwo należące do obozu socjalistycznego.

Jednocześnie rząd Niemieckiej Republiki Demokratycznej

nie przyjął fakt utworzenia demokratycznego państwa niemieckiego. Prezydent Bolesław Bierut w piśmie z dnia 15 października 1949 roku do Wilhelma Piecka i Otto Grotewohla, powitał powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Poparcie, którego Polska udzielała od chwili powstania tego państwa wynikało z przeświadczenia, że siła i bezpieczeństwo granic Niemieckiej Republiki Demokratycznej stanowi istotny warunek bezpieczeństwa także i naszego narodu. Wychodząc z tego założenia, rząd polski podjął kroki zmierzające do umocnienia zachodniego sąsiada. Celowi temu służyła niewątpliwie podpisana już w roku 1946 umowa handlowa z ówczesną strefą wschodnią, początkująca jej związki gospodarcze z obozem socjalistycznym. Bardzo istotną, liczącą się pomocą dla młodej Republiki była decyzja rządu polskiego z 15 maja 1950 roku, na mocy której postanowiono zmniejszyć wypłacaną Polsce sumę na poczet reparacji wojennych oraz rozłożenia reszty dostaw na 15 lat.

W roku 1953 strona polska zrzekła się pozostałych jeszcze do spłacenia świadczeń reparacyjnych, co miało duży wpływ na stabilizację gospodarki Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Decydujące znaczenie dla rozwoju przyjaznych stosunków pomiędzy Polską i Niemiecką Republiką Demokratyczną miało podpisanie w dniu 6 lipca 1950 roku Układu Zgorzeleckiego, sankcjonującego postanowienia umowy poczdamskiej w kwestii przebiegu polskiej granicy zachodniej. Układ Zgorzelecki miał donosić znaczenie dla obu stron, gdyż rozproszył ostateczne

cych tereny Ziemi Odzyskanych.

Dla Niemieckiej Republiki Demokratycznej był Układ Zgorzelecki debiutem na arenie międzynarodowej. Miał on tym większe znaczenie i swoją wymowę w sytuacji, gdy drugie państwo niemieckie od samego początku przy poparciu swoich protektorów dążyło do całkowitej izolacji Niemieckiej Republiki Demokratycznej na forum międzynarodowym.

O stosunku Niemieckiej Republiki Demokratycznej do Polski i o znaczeniu tych relacji dla obu stron wypowiadało się wiele kompetentnych osób. Przytoczmy w tym miejscu bardzo trafną charakterystykę zagadnienia dokonaną przez wybitnego znawcę niemiecko-polskich stosunków, profesora Gerarda Lubudę, który stwierdził, że „historyczna rola Niemieckiej Republiki Demokratycznej sięga jednak znacznie dalej. Gdyby stosunek tego państwa do Polski opierał się tylko na deklaracjach meżów stanu, słuszenie moglibyśmy im przypisywać znaczenie przemijające i koniunkturalne. Takich deklaracji i zapewnień przyjaźni historia zna wiele. W danym jednak wypadku tym doświadczeniem znamie trwałości nadaje ogólny kierunek rozwoju Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Podobnie jak w Polsce została w tym kraju dokonana gruntowna reforma społeczna, która doprowadziła do obalenia władzy żywołów stale podtrzymujących politykę zaborów terytorialnych i wzrostu ekonomicznego na wschodzie. W wyniku tych reform powstała więc między obu krajami wspólnota ustroju społecznego, zainteresowanego w pokojowym rozwoju obu narodów”.

Pisaliśmy w ub. tygodniu o znaczeniu dorocznego sesji Zgromadzenia Ogólnego jako forum dyskusji 152 już członków ONZ o najważniejszych, aktualnych problemach światowych. Zwalczając z uwagą obserwuje się zawsze debaty generalne. Teksty przemówień szefów delegacji — najczęściej ministrów Spraw Zagranicznych — szczególnie analizuje się, porównuje, wyciąga wnioski

wania wszystkich spornych problemów i rozwoju międzynarodowej współpracy, co jest elementarnym warunkiem utrzymania i utrwalania światowego pokoju”.

Min. Wójciszek przypomniał następnie, że tę sprawę stawia jako przedstawiciel narodu, który pierwszy przed 40 laty przeżył agresję hitlerowską, a przed 35 laty ze swych tragicznych doświadczeń wyciągnął właściwe

rozbrojenowych, przedstawiając własne lub wspólne z sojusznikami inicjatywy. Jesteśmy zadowoleni, że istnieją liczne już plany szczytów rokowań. Jedną z nich doprowadziła do radziecko-amerykańskiego układu SALT II, który — wierzymy — rychło wejdzie w życie, a tym samym stworzone zostaną możliwości podjęcia negocjacji w sprawie SALT III. Oczekujemy postępu i pomyślnego końca i innych rokowań rozbrojenowych. W maju kraje socjalistyczne przedłożyły w tym propozycję zwołania konferencji na szczeblu politycznym wszystkich państw europejskich. Stanów Zjednoczonych i Kanady w sprawie obniżenia konfrontacji wojennej na naszym kontynencie. Idea ta wywołata pozytywny odzew.

Nawiązując do Aktu Końcowego helsińskiego KEWE min. Wójciszek stwierdził, że opowiadamy się za tym, aby jego postanowienia włączone zostały do wewnętrznych ustawodawstw krajów, które ten Akt podpisały. Stanowi on bowiem ważną europejską platformę budowy zaufania.

Doroczna sesja Zgromadzenia Ogólnego jest okazją do przeglądu i bilansu wszystkich trudnych problemów świata. Ale nie o bilans tylko chodzi — najważniejsze jest, aby kolejno je rozwiązywać, sprawiedliwie i z myślą o przyszłości świata. Polska w takich działaniach będzie zawsze aktywna i wierzy, że pokojowa ewolucja, która już się dokonuje, będzie trwała i pogłębiała się. XXXIV sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ powinna to ułatwić.

W. ŚLAWSKI

Na wybrzeżu czarnogórskim nadal tysiące ludzi pozabawionych jest dachu nad głową, w wyniku tragicznego trzęsienia ziemi w dniu 15 kwietnia 1979 roku. Z tego, co dotychczas podano do wiadomości, wynika, że sytuacja jest więcej niż ciężka i nie ma żadnej nadziei, by ludzie, którzy utracili domy, otrzymali przed zimą własny dach nad głową.

O ile w miastach na samym wybrzeżu sytuacja jest nieco lepsza, to w górach praktycznie dotychczas nie udało się zrobić. Jako główne przyczyny tego wymienia się brak pieniędzy, brak materiałów budowlanych, brak transportu oraz fahowej siły roboczej. Korzystają z tego wszelkiego typu spekulanci. Materiały budowlane można kupić, ale po cenie 3-krotnie wyższej, można wynająć też pokój na zimę, ale trzeba płacić nie mniej, jak trzy tysiące dinarów miesięcznie.

Tygodnik „NIN” z 30 września br. zamieścił obszerny materiał pt. „Tymczasowe życie”. Zaczyna się on od rozmowy z ministrem finansów, z której wynika, że w ramach podjętej przez parlament JFRS uchwały pozostałe republiki miały przekazać na pomoc dla Czarnogóry 5 miliardów dinarów. Dotychczas wpłynęła tylko część tej sumy. „NIN” zwraca się też do wicepremiera Czarnogóry, Marko Matkovicia, odpowiedzialnego za tereny dotknięte trzęsieniem ziemi, z pytaniem czy prawdą jest, że dotychczas zrobiono niewiele?

— I tak, i nie — odpowiada wicepremier. — Zrobiono dużo, ale opóźnienia są też duże. Po pierwsze, nie mogliśmy wydawać zezwoleń na budowę w miejscach, które nie zostały sprawdzone przez geologów. To wymagało czasu. Po drugie, opracowywano dla nas typowe budynki, to również trwało. Po trzecie, dotychczas Republika otrzymała tylko 4,2 mld. dinarów pomocy, wliczając w to sumy przeznaczone niejako społecznie, jak też około miliard kredytów Straciłmy też wiele czasu nie wiedząc, czy tś na prowizorkę czy od razu na rozwiązania trwałe. Improwizowane obiekty drogo nas

kosztowały. Trwałe rozwiązania znów wymagały czasu na ich przygotowanie.

— Czy oznacza to, że część ludzi będzie zmuszona spędzić zimę pod namiotami? — pyta „NIN”, a M. Matkowiec zapewnia, że podjęte zostaną wszelkie wysiłki, by do tego nie doszło, ale nie wyklucza, iż część będzie musiała spędzić zimę w przyczepach kempingowych.

DO CZARNOGÓRY ZBLIŻA SIĘ ZIMA

Jadąc wzdłuż wybrzeża — p.sze „NIN” — widać, że sytuacja wygląda inaczej niż gdy się na nią patrzy z góry, z Titogradu czy Belgradu. Najgorsza jest, jak się wydaje, sytuacja w gminie Kotor. Są tu stare miasta leżące w ruinie oraz wsie w górach, również zrujnowane. Nie ma hoteli i ośrodków turystycznych. Do dziś ponad 7 tysięcy ludzi mieszka w namiotach. Buduje się tylko 500 mieszkań w barakach i 150 w domach murowanych. 250 rodzin wróciło do swych domów nie zważając, iż nie nadają się one bez gruntownego remontu do bezpiecznego życia.

W miejscowości Grahovo kończy się budowę olbrzymiego baru, w którym musi się zmieścić cała ludność. „W nocy było już minus trzy stopnie, a my ciągle pod namiotami!” — mówi mieszkający tej miejscowości. Niedługo spadną tu śniegi i przyjdzie 20-stopniowy mróz.

Zdaniem „NIN” najlepsza sytuacja jest w Budwie, pozostało tu sporo willi i innych budynków, a także połowa hoteli. W nich mają nadzieję tutejsze władze pomieścić wszystkich mieszkających ciągle jeszcze pod namiotami.

(PAP) DARIUSZ PILEWSKI

KRONIKA TYGODNIA

o tendencjach polityki danego kraju i priorytetach. Ze zrozumiałych względów w orbicie największego zainteresowania są wystąpienia przedstawicieli dwóch supermocarstw: ZSRR i USA

W toku wspomnianej debaty zabral już także głos min. E. Wójciszek, który raz jeszcze podkreślił, że podstawowym celem polityki zagranicznej Polski Ludowej jest trwały pokój.

Rok, jaki upłynął od poprzedniej sesji Zgromadzenia Ogólnego, wypełniły ważne, a niekiedy i dramatyczne wydarzenia. Nie zahamowały one jednakże tendencji do trwałego pokoju światowego postępu społecznego i zapewnienia człowiekowi godnych warunków życia. Równocześnie, niestety, utrzymywały się nadal napięcia w poszczególnych regionach, a nawet przetożyczyły się nowe wojny. To wszystko — mówił szef delegacji Polski — stawia ponownie przed Organizacją Narodów Zjednoczonych trudne i odpowiedzialne zadania, nade wszystko jednak zadanie skutecznego rozwiązy-

wnioski. Jest przeto zrozumiałe, że w „Poznaniu społeczeństwa polskiego do narodów i parlamentów świata”, przyjętym w Gdańsku i wrześniu br., znalazły się hasła pokojowego rozwoju świata, wzajemnego zrozumienia i szacunku oraz przyjaźni między narodami.

Przed rokiem przedłożył Zgromadzeniu Ogólnemu projekt Deklaracji o Wychowaniu Społeczeństw w Duchu Pokoju, który spotkał się z powszechnym poparciem. Rząd PRL przygotował je obecnie konkretny program renizacji w Polsce tej deklaracji, który przedstawiony zostanie ONZ.

Dziś najważniejszym zadaniem jest zahamowanie wyścigu zbrojeń. Niebezpieczeństwo jego kontynuowania polega na tym, że „obejmuje on coraz więcej państw, przybiera postać wyścigu technologicznego, angażuje coraz więcej ludzi, pochłania coraz większe środki materialne, a w konsekwencji nie zwiększa, lecz podważa międzynarodowe bezpieczeństwo”. Polska stara się wnieść swój wkład do rokowań

Początek lat pięćdziesiątych w historii pierwszego demokratycznego państwa niemieckiego to okres intensyfikacji wszechstronnej współpracy z krajami demokracji ludowej, czego przejawem było przystąpienie w 1950 roku do RWPG, zaś w pięć lat później Niemiecka Republika Demokratyczna stała się członkiem Układu Warszawskiego.

Ścisłe związki łączące Niemiecką Republikę Demokratyczną z blokiem państw socjalistycznych znalazły odbicie także w dwustronnej pomocy i współpracy. Taki właśnie dokument podpisał 15 marca 1967 roku Polska i Niemiecka Republika Demokratyczna. 12 artykułów układu sojusznego zapoczątkowało nowy etap we wzajemnych stosunkach, których istotą było obustronne dążenie do integracji w sferze politycznej i gospodarczej. Umawiające się strony zobowiązały się przy tym także do udzielenia sobie wzajemnej pomocy w razie agresji na jedno z nich. Wprowadzenie w życie powyższych postanowień przyczyniło się do podniesienia wzajemnych stosunków na wyższy poziom, określany przez politologów mianem stosunków „nowego typu”. Znalazły one potwierdzenie w podpisanej i ogłoszonej w Berlinie 20 czerwca 1973 roku „Deklaracji o Umocnieniu Przyjaźni i Pogłębieniu Współpracy Polski i NRD”.

W nowej sytuacji politycznej w Europie lat siedemdziesiątych, charakteryzującej się m.in. normalizacją stosunków między Republiką Federalną Niemiec a państwami socjalistycznymi, w tym także z Niemiecką Republiką Demokratyczną, podkreślono zainteresowanie obu stron we wspólnym działaniu na rzecz zasady pokojowego współistnienia państw o odmiennych ustrojach społeczno-ekonomicznych. W sferze gospodarczej obie zainteresowane strony, PRL i NRD, zgodziły się, że osiągnięty poziom sił wytwórczych stwarza konieczność racjonalnego wykorzystywania sił produkcyjnych oraz wzajemnej pomocy we wprowadzaniu do produkcji najnowszych zdobyczy nauki i techniki.

Dążenie do wypracowania nowych wzorców stosunków między państwami i narodami znalazło swój wyraz w podpisanym 28 maja 1977 r. nowym dwustronnym układzie. Zawarta jest w nim nie tylko treść polityczna, ma on także wymiar historyczny. Układ podchodzi bowiem do zagadnienia współpracy w sposób długofalowy, kładąc nacisk na zbliżenie obu narodów, zwłaszcza młodych pokoleń. Tak rozumiany sens Układu z 1977 roku został potwierdzony udziałem przywódców obu państw — Edwarda Gierka i Ericha Honeckera w wielkim festynie młodzieży polskiej i niemieckiej, odbywającym się z okazji Układu w Frankfurt nad Odrą.

Droga do dzisiejszej pozycji międzynarodowej Niemieckiej

Republiki Demokratycznej nie była łatwa. Istotnym czynnikiem wzmacniającym prestiż tego państwa na forum ogólnym był fakt jego przynależności do bloku państw socjalistycznych, które w trudnych chwilach dla Republiki udzielały jej poparcia moralnego i gospodarczego. Stałe partnerstwo polityczne i gospodarcze Niemieckiej Republiki Demokratycznej z państwami socjalistycznymi miało niewątpliwie wpływ na przemiany społeczne za Odrą. Mówi o tym m.in. nowela wprowadzona w 1974 roku do konstytucji, podkreślająca socjalistyczny charakter Republiki, ukształtowanie się socjalistycznego społeczeństwa, jak i ścisłe powiązania narodu z blokiem państw socjalistycznych.

O dzisiejszej pozycji i znaczeniu Niemieckiej Republiki Demokratycznej świadczy m.in. fakt nawiązania stosunków dyplomatycznych z ponad stu krajami świata, zaś niemi handlowymi jest Republika nowożytna z jeszcze większą ilością krajów. W zakresie polityki zagranicznej i międzynarodowej pozycji kraju do największych osiągnięć zaliczyć należy przyjęcie Niemieckiej Republiki Demokratycznej w 1973 roku do ONZ.

Obok międzynarodowego znaczenia politycznego, Niemiecka Republika Demokratyczna stanowi ważny ośrodek gospodarczy, jako przykład podajmy, że w latach 1950—1978 obroty handlowe pomiędzy PRL i NRD wzrosły dziesięciokrotnie.

Znaczna intensyfikacja rolnictwa w Niemieckiej Republice Demokratycznej wynika m.in. ze stosunkowo skromnych zasobów ziemi użytkowej, jak i deficytu siły roboczej. Początkowe trudności w dziedzinie przemysłu wynikały z powodów obiektywnych, jako że przed rokiem 1939 obecne obszary Niemieckiej Republiki Demokratycznej były zagospodarowane bardzo słabo, gdyż przemysł Rzeszy Niemieckiej rozwijał się głównie na terenach zachodnich. W chwili obecnej Niemiecka Republika Demokratyczna należy do czołówek gospodarczej na świecie, zaś szczególnie wysokie miejsce zajmuje w przemyśle elektromechanicznym, elektrotechnicznym i chemicznym.

Oprócz sukcesów politycznych i gospodarczych, Niemiecka Republika Demokratyczna poszczycić się może dużymi osiągnięciami w dziedzinie nauki, oświaty i kultury. Są to obszary, w których było po roku 1949 szczególnie wiele do zrealizowania, gdyż bacył faszyzm zapuścić tutaj głęboko korzenie. Zdecydowana postawa czynników oficjalnych Republiki spowodowała, że całkowicie zerwano z niechlubną przeszłością i rozpoczęto preferować socjalistyczny model kultury i sztuki.

Dzisiaj, patrząc z perspektywy na osiągnięcia Niemieckiej Republiki Demokratycznej w

tej dziedzinie, można wyrazić zadowolenie, że w tak dużym stopniu wysiłki władz i społeczeństwa uwiecznione zostały powodzeniem. W Polsce kultura za Odrę cieszy się dużą popularnością, zaś np. utwory takich pisarzy jak Anna Seghers, Friedrich Wolf, Hermann Kant czy Christa Wolf są tłumaczone i wydawane w wysokich nakładach. Nie można tutaj ominąć wielkich sukcesów sportu Niemieckiej Republiki Demokratycznej, znajdujących w Polsce duży rezonans. Znakomite wyniki sportowców z Odry na mistrzostwach świata i olimpiadach znajdują w naszym kraju licznych entuzjastów, zaś nazwiska Schura czy Recknagla znane są szerokim kręgiem społeczeństwa polskiego.

Istnienie Niemieckiej Republiki Demokratycznej ma dla rzeczywistości polskiej doniosłe znaczenie. Zaznaczył to m.in. I sekretarz KC PZPR, Edward Gierek, stwierdzając, iż „socjalistyczne państwo niemieckie — państwo robotników i chłopów — zostało stworzone przez siły antyfaszystowskie, przez komunistów niemieckich, którzy byli razem z nami w walce z hitleryzmem. Zbudowane je na fundamencie historycznych decyzji konferencji poczdamskiej. Na trwałe wszedł do historii fakt, że jednym z zasadniczych aktów tego państwa było uznanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej za ostateczną i nienaruszalną, za granicę pokoju między naszymi narodami (...). Po raz pierwszy w swych tysiącletnich dziejach Polska zyskała na swej granicy zachodniej przyjaciela i sojusznika. Na bazie ideowej jedności naszych marksistowsko-leninowskich partii, klasowego sojuszu i wspólnoty ustrojowej podzieliłyśmy razem wielkie dzieło budowy przyszłości w stosunkach między naszymi narodami”.

Słowa przywódcy narodu polskiego znalazły pełne potwierdzenie w kolejnych etapach rozwoju bilateralnych stosunków pomiędzy Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną. Miejsce szczególne odgrywa tutaj np. decyzja o wprowadzeniu 1 stycznia 1972 roku bezwizyjnego ruchu turystycznego między obydwojema krajami, co w decydującej mierze spowodowało wzmożenie serdecznych kontaktów nie tylko pomiędzy partiami, względnie organizacjami, ale także pomiędzy ludnością zamieszkałą po obu stronach Odry, która stała się granicą przyjaźni i pokoju.

Trzydzieści lat kontaktów pomiędzy Polską i Niemiecką Republiką Demokratyczną, zapoczątkowane bezpośrednio po klęsce III Rzeszy, oficjalnie podjęte w roku 1949, stanowią ważki przykład współpracy i pokojowego współistnienia w rzeczywistości europejskiej o kresu powojennego.

ochotniczego”, walczącego po stronie hitlerowskich Niemiec. Podczas burzliwych debat w australijskim parlamencie Urbanowicz próbował odrzucić wysunięte przeciwko niemu oskarżenia. Jednakże posłowie opozycyjnej partii laburzystowskiej przedstawili niezaprzeczalne dowody jego współpracy z nazistami. Pod naciskiem opinii publicznej Urbanowicz był zmuszony ustąpić z zajmowanych stanowisk. Tymczasem prawnicza prasa australijska podniosła ogromny szum, że Urbanowicz stał się rzekomo ofiarą „spisku komunistów” — chwyt banalny, ale wciąż jeszcze na Zachodzie bardzo żywoty.

„LE MONDE” — PARYŻ

● Nazwisko znanego hollywoodzkiego aktora filmowego, Johna Wayne’a, który zmarł niedawno na raka, znów pojawiło się na stronach zachodnich gazet. Wayne zachorował na raka prawdopodobnie w wyniku radioaktywnego promieniowania, które dotknęło go w 1954 roku, na pustyni Nevada, gdzie odbywały się zdjęcia do filmu „Zdobycy”, osnutego na podbojach Cingis-Chana. Rok wcześniej, na pustyni przeprowadzano próby jądrowe. Promieniowanie radioaktywne negatywnie oddziaływało nie tylko na zdrowie Wayne’a. Wśród osób z tej ekipy filmowej, które zmarły na raka, znajdują się niemal wszystkie, których nazwiska figurowały na afiszach filmu „Zdobycy”. Ponadto choroba dotknęła wielu członków technicznej grupy zdjęciowej oraz Indian zaproszonych do wzięcia udziału w masowych scenach filmu. Jak utrzymują lekarze, w stanie Utah zachorowało na leukemię wśród osób, które urodziły się tam w latach 50. Jest dwukrotnie wyższa niż wśród późniejszych pokoleń.

(„CHICAGO SUN TIMES” — CHICAGO)

Zachodnie środki masowej informacji nadal rozkręcają głośnie kampanię wokół tzw. problemu uchodźców z Indochin, próbując obciążyć za to winą socjalistyczny Wietnam. Wszakże fakty świadczą, że ów dramatyczny problem pojawił się w konsekwencji wojny USA przeciwko Wietnamowi oraz sił, którym zależy na utrzymaniu napięcia w południowo-wschodniej Azji.

Prezydent USA, J. Carter, podczas rozmów z premierem Japonii, M. Ohirą, które w końcu lipca br. odbyły się w Tokio na spotkaniu głów państw i rządów siedmiu wiódzących krajów kapitalistycznych, poruszył, między innymi, problem uchodźców z Wietnamu i odwołując się do zasad humanitaryzmu ostro skrytykował Wietnam. Ale właśnie polityka USA i długotrwała

wiejskich tzw. strefy nieograniczonego bombardowania. Ratując się przed nalotami samolotów, masy chłopskie zaczęły opuszczać wsie i osiedla, i migrować do bezpieczniejszych rejonów kraju. Amerykańska administracja wojskowa osiedla uchodźców we „wszach strategicznych” i miastach. W 1975 roku, tuż przed całkowitym wyzwoleniem kraju, z uporem rozpowszechniano kłamliwe sły, że po wkroczeniu narodowej armii rewolucyjnej, Sajgon „utonie w morzu krwi”. I znów około 220 tys. ludzi, dając posłuch tej agacji, uciekło za granicę. Od tego czasu nieraz nadchodziły informacje o udziale agentów CIA w działalności nielegalnej organizacji ułatwiającej wyjazd obywatelom SRW za granicę. Nie tak dawno, w Zatoce Sajgońskiej zatrzymano brytyjski statek, na którym próbowało nielegalnie opuścić Wietnam 69 osób. Mówi się, że i tym razem przyłożyła do tego rękę CIA.

Minister spraw zagranicznych rządu Indonezji w jednym ze swych wystąpień poświęconych temu problemowi podkreślił, że „odpowiedzialność za problem uchodźców z Indochin ponoszą Stany Zjed-

Wietnamowi lub ją popierali. Są to rządy: Australii, Nowej Zelandii, USA i Anglii. Drugi element — te same kraje, które obecnie leją krokodyły z powodu uchodźców z Wietnamu, ignorują problemy innych uchodźców: mieszkańców Zimbabwe — Rodezji, Namibii, Palestyńczyków, uchodźców z Salvadoru, z Gwatemali czy Nikaragui, nim przepędzono z niej Somoze.

Ten ogromny tumult zagluszający interesujący problem związany z uchodźcami z Wietnamu, a mianowicie, że istnieją i działa agenturalna sieć tysięcy ludzi zatrudnionych w CIA w ośrodkach Bangkoku, w Singapurze i Manili, którzy biorą udział w rozdmuchiwaniu „problemu uchodźców”. Jak informuje amerykańska gazeta „Daily World”, podczas wojny w Wietnamie sajgoński ośrodek CIA był najliczniejszy w Azji. Niezależnie od tego, jak podaje jeden z amerykańskich publicystów, Ted Schultz, Pentagon przeprowadzał własne, ściśle tajne operacje wywiadowo-dywersyjne.

PROBLEM „LUDZI W ŁÓDKACH”

wojna, jaką prowadzili one w Indochinach, zrodziły problem uchodźców. W agresji na Wietnam USA używały swoich sił zbrojnych i wojsk krajów satelickich. Agresorzy zrzucili na ziemię umęczony Wietnam, 15 i pół miliona ton pocisków i bomb. Kilka milionów Wietnamczyków, zginęło lub odniosło rany. Środki trujące, rozpylane w Południowym Wietnamie na terytorium o powierzchni 24 tys. km kw., do dziś niszcząco oddziałują na otaczające środowisko naturalne, a ludzie zapadają na ciężkie choroby. Jeszcze teraz, po z górą czterech latach od chwili całkowitego wyzwolenia Wietnamu, w rolniczych rejonach gina ludzkie rozrywki przez niewypały pocisków i bomb lotniczych, rozsiągnięte po chłopskich polach.

Polityka USA w Południowym Wietnamie spowodowała znaczny wzrost liczby ludności miejskiej. Zaraz po wyzwoleniu Sajgon liczył 4 i pół miliona mieszkańców. Około miliona nie miało pracy. Później, tę armię bezrobotnych powiększyli urzędnicy i wojskowi byłego reżimu. Byli urzędnicy i handlarze spekulując amerykańskimi towarami i zgarniając ogromne zyski z ciemnych operacji, nadal żyli w luksusie. Niektórzy z nich, w obawie przed skierowaniem do ciężkiej pracy przy odbudowie kraju, a rozsmakowani w starzych porządkach, uciekli za granicę. Jak podają gazety, wielu uchodźców, którzy drogą morską dotarli do Malajzji i Hongkongu, ma przy sobie ogromne sumy pieniędzy w dolarach lub sztuki złota.

USA, które przez trzydzieści lat z okładem mieszały się do wewnętrznych spraw Wietnamu, tworzyły problem uchodźców. Operacja, która swego czasu spowodowała ucieczkę ludzi z Południowego Wietnamu, została opisana w tajnym raporcie ministerstwa obrony USA. Mówi się w nim, iż w Hanoi działała specjalna grupa operacyjna, której zadaniem było prowadzenie dywersji, kłopotowanie ulotek, śianie paniki wśród mieszkańców miasta. W raporcie podkreślono, iż w wyniku działalności tej grupy liczba Wietnamczyków, którzy złożyli prośbę o przesiedlenie na południe wzrosła trzykrotnie. Amerykanie już od dawna dawno używali określone grupy przesiedleńców z północy do popierania reżimu Ngo Din Diema. Podczas wojny wietnamskiej USA ustanowiły w okęgach

noczone i inne kraje, które brały udział w wojnie w Wietnamie”. Także w Japonii, w kołach trzeźwo patrzących na tę sprawę, jak informuje tokijski dziennik „Akhata”, uważa się, że „główną winę za pojawienie się obecnego problemu uchodźców ponoszą USA”.

Liczba „ludzi w łódkach” — jak nazywa prasa zachodnia obywateli Wietnamu nielegalnie opuszczających kraj drogą morską, sięga kilkudziesięciu tysięcy osób miesięcznie. Wzbudza to zaniepokojenie Malajzji i Hongkongu, dokąd przybywa główna masa uchodźców. Informacje z Malajzji i Hongkongu potwierdzają, iż 70—80 proc. „ludzi w łódkach” stanowią uchodźcy pochodzenia chińskiego, którzy mieszkali w Wietnamie. Większość uchodźców, którzy niedawno przybyli do Japonii i osiedlili się w mieście Fukuja, w prefekturze Hiroszimy, też w większości jest pochodzenia chińskiego. Korespondent japońskiej gazety „Asahi”, K. Ikawa, który rozmawiał z osobami pragnącymi wyjechać z Wietnamu, twierdzi, że niemal wszystkie są pochodzenia chińskiego.

Wielu obserwatorów politycznych na Zachodzie przypuszcza, że szum wokół problemu uchodźców ma przygotować grunt pod nowe, agresywne akcje przeciwko Wietnamowi. Antywietnamską historię rozdmuchują przede wszystkim dwie najbardziej wpływowe amerykańskie gazety: „New York Times” i „Wall Street Journal”. Ekonomiczna agresja przeciwko Wietnamowi już się zaczęła. W lipcu tego roku komisja EWG, pod pretekstem problemu uchodźców, podjęła decyzję o wstrzymaniu dla Wietnamu wszelkich rodzajów pomocy ekonomicznej i innej. Szwecja i Japonia, mimo silnych nacisków, nie zgodziły się z tą decyzją. Stany Zjednoczone oznajmiły natomiast, że ponadto nie zamierzają wykonać swoich zobowiązań w sprawie pomocy w odbudowie Wietnamu, który poniósł nieobliczalne straty w wyniku amerykańskiej agresji.

Dwa elementy są nader charakterystyczne dla podtekstu obecnej antywietnamskiej nagonki na fali problemu uchodźców: pierwszy — najwięcej szumu, spośród wszystkich o burznych losach uchodźców wietnamskich, robią rządy krajów, które 15 lat temu brały udział w wojnie przeciwko

Wietnam pragnie współpracować z urzędem Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców oraz z zainteresowanymi krajami południowo-wschodniej Azji. 30. maja br. przedstawił Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców uzgodnił program składający się z 7 punktów. Przewiduje on prawo wyjazdu z Wietnamu obywateli tego państwa, którzy pragną, z tych lub innych powodów, wyjechać za granicę.

Na podstawie tego porozumienia 13 tysięcy osób już otrzymało zezwolenie na wyjazd z SRW. Obok tego rząd SRW wysłał delegację do krajów południowo-wschodniej Azji z misją współpracy w dziedzinie rozwiązania problemu uchodźców. Co więcej, rząd wietnamski podał do wiadomości, iż w celu przyspieszenia realizacji programu 7 punktów, gotów jest wziąć udział w konferencji zainteresowanych państw pod egidą Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców.

Cóż można było więcej zrobić. Mimo to rząd USA z uporem rozpala kampanię przeciwko Wietnamowi, twierdząc, wbrew oczywistym faktom i dokumentom pozostającym w dyspozycji ONZ, że Hanoi „wygania z kraju ludzi niewygodnych dla reżimu. Amerykańska administracja obiecała na Konferencji Paryskiej udzielić Wietnamowi bezzwrotnej pomocy w celu odbudowy zniszczonego kraju, ale nie wypełnia tej obietnicy. Czy wobec tego ma ona moralne prawo do osądzenia problemu uchodźców, wychodząc z pozycji humanitaryzmu? To samo można by powiedzieć o rządzie Japonii, który popierał amerykańską wojnę w Wietnamie. Jeśli rządy te rzeczywiście pragną rozwiązać problem uchodźców, to przede wszystkim powinny pomóc w odbudowie Wietnamu.

JERZY CZECH

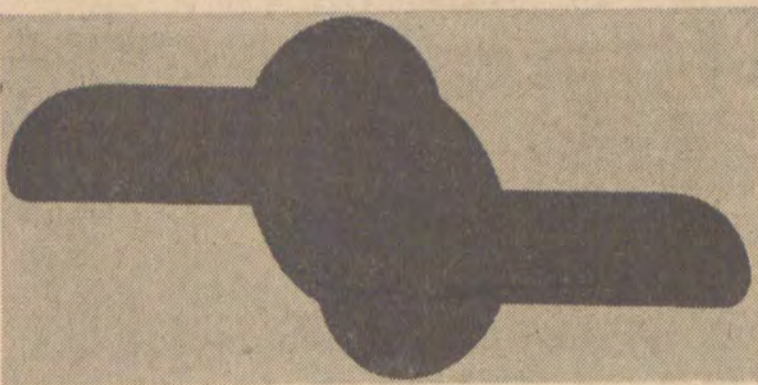
ODGŁOSY 9

Z PRASY

nie propozycje dotyczącą „politycznej kontroli” nad procesem zbrojeń. Propozycja różni się od poprzedniej, gdyż nie zawiera jednak elementu zbrojeń, do zahamowania programu produkcji nowych rodzajów broni masowej zagłady. Na ten temat Apel powiedział dosłownie co następuje: „My nie możemy czekać na wyniki rozmów”. I fakt, że rząd podjął już odpowiednie decyzje potwierdza uwaga ministra, iż u podstaw stanowiska RFN na mającej się odbyć sesji Rady NATO w Brukseli leży „decyzja Federalnej Rady do Spraw Bezpieczeństwa”.

„UNSERE ZEIT” — DUESELDORF

● W Australii wybuchł głośnie skandal polityczny. Okazało się, że przewodniczący komisji do spraw mniejszości etnicznej działającej przy rządzącej partii liberalnej, jeden z jej liderów w stanie Nowy Południowy Wells — L. Urbanowicz — jest przestępcą wojennym. W czasie drugiej wojny światowej brał aktywny udział w działaniach „słowackiego oddziału



Wielowarstwowa i na tle środowiska artystycznego Łodzi odrębna, twórczość Leszka Różgi stanowi niezmiennie świeży materiał dla nowych prób interpretacji, dążeń, zasad i środków składających się na dzieło graficzne tego artysty. Twórczość Różgi zdaje się wybiegać poza działania tradycyjnie zarezerwowane dla pla-

styki, w stronę literatury, traktatu filozoficznego, moralitetu. To dialog z samym sobą na temat stosunku do otaczającego świata, próba określenia własnego miejsca w stale zmieniającej się rzeczywistości: „Całe moje myślenie, moja „samotność”, jest moją twórczością, a twórczość moja jest moim życiem. Jest opisaniem

moich myśli i uczuć, jest rozmową z samym sobą. Każdy etap życia uewnętrzniony jest w moich pracach. Jest prawdą uczuciową naiwną, być może prawdą o mnie”.

Artysta pracuje cyklami. Zamykają one pewne etapy zawierające pytania, relacje, próbę odpowiedzi. Wypowiedź plastyczna, mimo że wydaje się wybitnie subiektywna i przeznaczona wyłącznie dla autora, adresowana jest do szerokiego grona odbiorców. Gdyby chcieć posłużyć się tu terminologią zaczerpniętą z literatury, trzeba by zaliczyć Różgę do przedstawicieli „liryki pośredniej”, w której przeżyca podmiotu wtapiają się niejako w skład zjawisk istniejących poza „ja lirycznym”, lub utajone są w bezosobowej refleksji. Mamy tu do czynienia z monologiem lirycznym, który według określenia definiującego: „w lirycie pośredniej łączy się ściśle z formami narracyjnymi, opisowymi lub dialogowymi”.

Twórczość Różgi to spojrze-

nie na świat z dalekiej perspektywy przy równoczesnym, prawie mikroskopowym uwypuklaniu szczegółów. Każdy z nich znaczący sam w sobie, stanowiąc także element niepowtarzalnego klimatu.

Cykl „Rudery” kofarzy się, prawie automatycznie, z nastrojem „Sklepow cynimowanych” Bruno Schulza. Powodem takich właśnie skojarzeń jest być może, zbieżność charakterów rodzinnych miast obu twórców. atmosfera znanych im do dzieciństwa uliczek małego, prowincjonalnego miasteczka. Już w „Ruderach” zaczyna zanikać różnica między znakiem a znaczeniem, między obrazem a wywołanym przez ten obraz nastrojem. Proces ten kontynuuje — Różga w cyklach „Przenikania” i „Agresje”. Podobnie jak u Schulza stosunek znaku i znaczenia polega tu na wewnętrznej tożsamości.

O twórczości Schulza pisał: „Wyobraźnia nasza oscyluje między zdegradowaną rze-

czątkowo artysta sprzeciwia się takiemu stanowi rzeczy (wspomniany już cykl „Agresje” zatytułowany uprzednio „Zmory”) Ostatnie dwa cykle graficzne „Kartki z albumu” i „Pejzaże wiosenne” wprowadzają klimat uspokojenia i pewnego dystansu.

„Poprzedni cykl był cierpieniem człowieka przykutego, nie mogącego wyzwolić się z niewoli własnego ja, ostatni to spojrzenie z góry — z przestąpienia, zwrócenie uwagi na najdrobniejsze struktury budujące krajobraz rzeczywistości. Inaczej można powiedzieć, że jest to spojrzenie dzisiaj na wczoraj, albo że jest usiłowanie znalezienia dzisiaj — tymi słowami określa artysta własną twórczość.

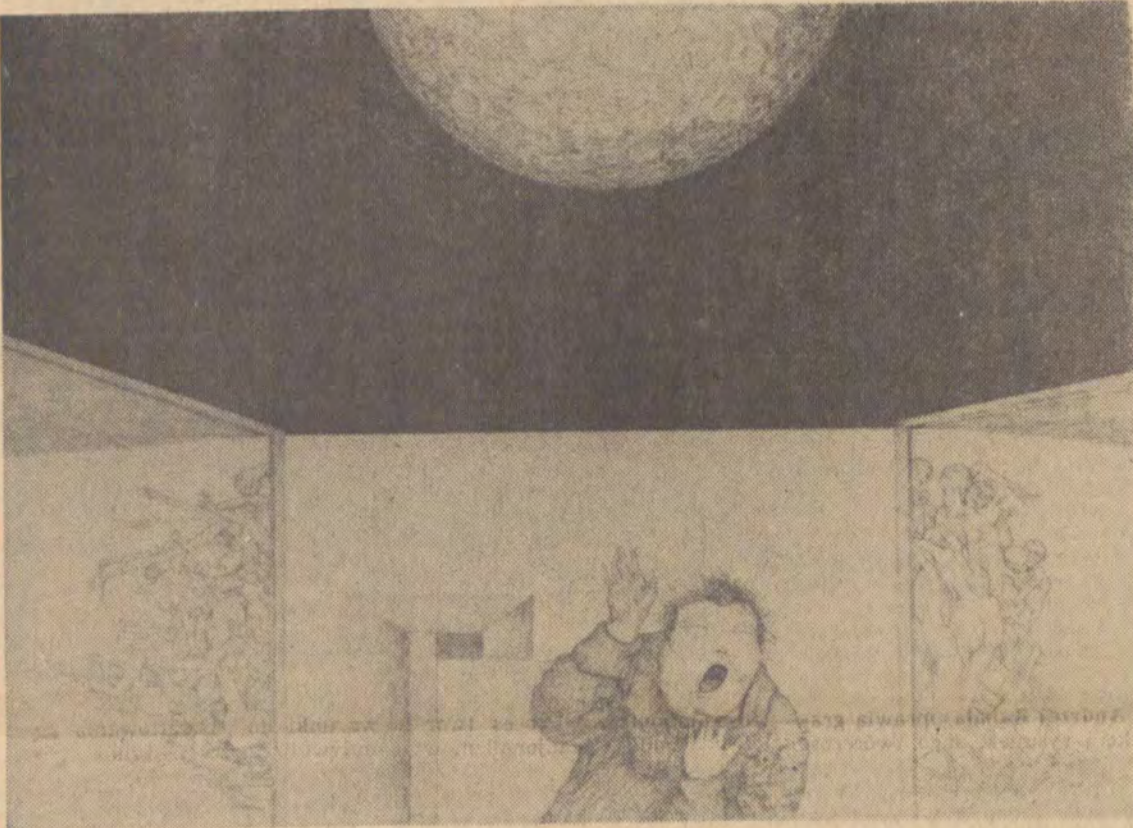
Liryzm poetycki Różgi podkreśla jeszcze delikatna kreska akwaforty. Nie ma tu barokowego bogactwa znaków i symboli. Artysta wypunktowuje, czytelnie elementy konieczne dla oddania całości swej poetyckiej wizji. Zarówno w grafice jak i w rysunkach sto-

arkusza „kolumna” ukośnych, ciemnych, agresywnie wdzierających się w jasną płaszczyznę papieru kresk.

Innego rodzaju, realny „ślad” działania znajdujemy we wspomnianych już „Kartkach z albumu”. Autora zainspirowały tutaj przechowywane w rodzinie i oglądane u przyjaciół stare sztabuchy i zielniki. W spojrzeniu na „przeszłość z perspektywy dojrzałości twórczej, artyście nie wystarcza już sama kreska, do rysunku włącza zapis własnych refleksji. A to, z punktu widzenia formalnego, jest już zapis ściśle poetycki:

„Jest niedziela
25 lipca
coś mi zostało
Ulotne chwile” (Akwaforta pt. „Ulotne chwile”).
„Kochanie moje zatopione
falą słoną
umarły drogi czerwone
granatem pękniętym
Żyje
nadzieją śmierci” (akwaforta „Pocieli”).

REALIZM LESZKA RÓZGI



Leszek Różga — Przenikanie VI (Cykl „Przenikania”) 1969

czywistością a wzniosłym mitem, że w końcu nie wiemy, czy o degradację drugiej tu chodzi, dość że dwa prądy sublimacji i kompromitacji krzyżują się ustawicznie w iluzorycznej dynamice, na marginesie realnego czasu i normalnej rzeczywistości. Zainstalowani na brzeżku nieskończoności ludzie Schulza odrywają swoje nędzne dramaciki, poderaż gdy za ich plecami toczy się niezauważony dramat nieskończoności”.

W swoich „Przenikaniach” Różga wyodrębnia dwa plany opozycyjne wobec siebie, wprowadza dialog między światem cywilizacji a rozdartym sprzecznościami światem wewnętrznym człowieka, podkreśla niemożność ruchu, niemożność przekroczenia pewnych określonych reguł, przytłoczenie przez cywilizację.

W pracach łódzkiego grafika niepoślednią rolę odgrywa „ziemia” jako miejsce jednoczący życie i śmierć dość i zło, piękno i brzydotę. Stanowi ona jakby „wielkie wnętrze” w których mieszkają żywi i umarli. W twórczości Różgi dominuje motyw bezwzględności czasu i łącząca się z tym nieuchronność przemijania. Po-

suje konsekwentną dyscyplinę wobec swojej twórczej wyobraźni. Widoczne jest to wyraźnie zarówno w rysunkach powstałych na początku lat siedemdziesiątych jak i w pochodzących z ostatniego okresu jego twórczości, ciemnym konturem znaczących biel papieru „aktach”.

Mówiąc o sobie zaznacza: „Mam ogromny szacunek dla papieru. Najchętniej zgromadziłbym na wystawie wszystkie arkusze papieru, to jest najpiękniejsze. Rysunek jest także swego rodzaju niszczeniem papieru, każde działanie jest niszczeniem, dlatego nigdy w swojej pracy nie odkształcam papieru, jak to czynią niektórzy moi koledzy. To co robię jest śladem ludzkiego działania”.

Istnieje rysunek Leszka Różgi najpełniej chyba ilustrujący to wypowiedź, są to „Ślady działania”, praca powstała w 1973 roku przedstawiająca jakby cztery fazy niszczenia powierzchni arkusza papieru. Zagadnienie to nurtuje artystę do dzisiaj. W pracowni na „ślugach” znajduje się obecnie autoportret o tym samym tytule. Jest to niewyraźny kontur twarzy, przysłonięty pionowo biegnącą przez środek białego

Pośród wielu odmian tematycznych, w twórczości Leszka Różgi dominuje postawa refleksyjno-filozoficzna, potwierdza to on sam mówiąc:

„Jestem sługą moich myśli i wszystko co ludzkie jest mi bliskie. Jestem trochę moralizatorem i wszystkie moje prace są historyjką z morałem. Nie są to ilustracje, choć mi ilustracyjność i literackość zarzucają. I choć może przez narracyjność bliżej są literaturze niż plastyce, bo czuję się bardziej poetą niż plastykiem — jestem plastykiem”.

Symbolika zawarta w pracach plastycznych Różgi wywołująca się w pewnej mierze z form obrazowania nadrealistycznego, doskonałość formalna połączona z wrażliwością poetycką prowokują do własnej interpretacji, skłaniają do zastanowienia się nad zawartą w zawilej metaforze tej twórczości rzeczywistą wartością istnienia.

JOANNA
BOJARSKA-SYREK

ARTYŚCI — MUZEUM — WIDZOWIE

Trzonem zbiorów Muzeum Sztuki w Łodzi jest kolekcja międzynarodowej sztuki nowoczesnej powstała w 1931 roku z inicjatywy grupy „a.r.” — Władysława Strzemińskiego, Katarzyny Kobro, Henryka Stażewskiego, Juliana Przybosa, Jana Brzękowskiego. Przebywający w tym czasie w Paryżu Jan Brzękowski i Henryk Stażewski, z inicjatywy Władysława Strzemińskiego, zwrócili się z prośbą o przekazywanie im darów swych dzieł do artystów — członków grupy „Cercle et Carré” i „Abstraction-Création” prezentujących bliskie twórcom polskim tendencje konstruktywistyczne: Theo van Doesburg, Georges Vantongerloo, Jean Helion, Sophie Taeuber-Arp, czy innych jak Jean Arp, Fernand Leger, Max Ernst, Enrico Prampolini, Amadee Ozenfant — wówczas nie znajdujących w pełni zainteresowania swą twórczością, dziś bardzo znanych. Nie zabrakło też polskich artystów jak Leon Chwistek, Tytus Czyżewski, St. I. Witkiewicz, Teresa Żarnowerówna i sami członkowie grupy „a.r.”. Kolekcja powstała z ich bezinteresownych darów złożonych pod jednym warunkiem — eksponowania i upowszechniania najszerzej publiczności.

Powstała kolekcja — wspólne dzieło inicjatorów i ofiarodawców prezentowała zatem najciekawsze osiągnięcia awangardy przełomu lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku. Ukazywała sztukę, wówczas aktualną, stworzoną została przez artystów kierujących się dalekowszrocznym, wyłącznie własnym, arbitralnym pojęciem systemem wartości. Umieszczona w łódzkim Muzeum, dzięki poparciu socjalistycznego samorządu miejskiego w 1931 roku, adresowana była do społeczeństwa wielkiego, przemysłowego ośrodka, społeczeństwa nie mającego humanistycznego przygotowania, a więc, jak wydawało się, otwartego na to, co nowe, nie odnoszące się do uznanych tradycji.

Powstałe w tym okresie muzealne kolekcje sztuki nowoczesnej na świecie, tj. w 1926 roku założona w Nowym Jorku przez Marcela Duchamp’a i Catherine Dreyer kolekcja Société Anonyme, sala sztuki abstrakcyjnej zaaranżowana w Hannoverze przez El. Lissitzky’ego, efemeryczne muzea sztuki współczesnej utworzone z inicjatywy artystów w Rosji Radzieckiej bezpośrednio po zwycięstwie Rewolucji Październikowej, miały ten sam awangardowy charakter, cechy układów otwartych, obliczonych na wymianę dóbr kultury, wzajemne poznanie dorobku.

Po wojnie w Muzeum Sztuki próba kontynuacji włączania artysty do decydowania o galerii muzealnej było w 1948 roku zaprojektowane przez Władysława Strzemińskiego w gmachu przy ul. Więckowskiego 36 sali neoplastycznej dla zaaranżowania w niej obrazów artystów z kolekcji grupy „a.r.” związanych z neoplastycyzmem, rzeźb przestrzennych Katarzyny Kobro, kompozycji architektonicznych i unistycznych samego autora.

Lawinowe powstawanie muzealnych kolekcji sztuki nowoczesnej we wszystkich niemal krajach rozwi-

niętych, kolekcji narodowych i międzynarodowych, niektórych bardzo bogatych, w większości prezentujących wartości tzw. „uznane”, wielkie nazwiska, niezależnie czy w skali danego kraju, czy świata, doprowadziło do pewnego rodzaju przesyty i dewaluacji. Zrodziła się dyskusja nad formą, treścią i sensem „historycznych” przeglądów sztuki nowoczesnej, która już wówczas traciła swój statyczny charakter. Automatycznie, niejako, powstała konieczność zapraszania, czy może lepiej, konieczność przyjmowania artystów aranżujących rozwijające się w czasie pokazy, wydarzenia, happeningi, działalność parateatralną z udziałem widzów, czy raczej realizującą się za pośrednictwem widzów. Niemalże znaczenie miało przyjąć do głosu generacji artystów związanych z pop-artem. W pewnym sensie odbiciem tych tendencji były kontestacyjne wydarzenia w Paryżu w maju 1969 roku, bojkot biennale weneckiego itd. Wyrazem nowych tendencji w muzealnictwie była m. in. działalność Moderna Museet w Sztokholmie, organizacja „Animation — Recherche — Confrontation” w oparciu o Muzeum Sztuki Nowoczesnej miasta Paryża, manifestacje artystyczne w Stedelijk Museum w Amsterdamie.

Nie było więc przypadkiem, że organizatorem Kolokwium Międzynarodowego Komitetu Muzeów Sztuki Nowoczesnej ICOM na temat współpracy muzeum z artystą w 1972 roku było Muzeum Sztuki w Łodzi. Kolokwium zgromadziło dyrektorów i kustoszów muzeów sztuki współczesnej z całego świata dla postawienia i przedyskutowania problemów relacji artysta — muzeum. W jakim stopniu ma być ono stymulatorem twórczości, a w jakim tylko miejscem styku artysta — widz, jak znaleźć miejsce dla żywej twórczości realizowanej na oczach publiczności w ramach tradycyjnych funkcji ustanowionych dla muzeów: kolekcjonowania, konserwacji, prezentacji. W jakim stopniu zagadnienia te, niezależnie od rozważań teoretycznych, stały się faktem, słowem niejako uzależniły egzystencję muzealnych zbiorów sztuki aktualnej od przekształcenia, za sprawą artystów, tradycyjnego miejsca kontemplacji w miejsce dyskusji, zabawy, miejsce w którym musimy „być aby znać”.

Antycypując niejako zagadnienia postawione na kolokwium ICOM, Muzeum Sztuki w 1972 roku zorganizowało w Galerii Richarda Demarco w Edynburgu wystawę współczesnej sztuki polskiej „Atelier 72”. Integralną część wystawy stanowiło przedstawienie Teatru Cricot 2 „Kurka Wodna” reżyserowane przez Tadeusza Kantora, happening-environment „Replika” Józefa Szajny, spektakl muzyczny na wiołonce i muzykę elektroniczną z poetyckim tekstem „Metaset E” realizowany przez Bogusława Schaffera i Mariana Warzecha pokazy filmowe Warsztatu Formy Filmowej PWSTvFIT w Łodzi — słowem akcje przekraczające pojęcie statycznej prezentacji.

Ponadto wydarzenia, w których „aktorami” była publiczność jak „Tydzień w Edynburgu” Marii Mi-



Niedziela w Muzeum

TENDENCJE I INDYWIDUALNOŚCI

Człowiek we współczesnym społeczeństwie epoki zwanej postindustrialną znalazł się w trudnej sytuacji, stał się bowiem adresatem skierowanych do niego, nieustannie napływających informacji. Zmasowana rzeka przekazu komunikatów niezwykle różnicowanych w treści stawia odbiorcę wobec problemu niemożności przetworzenia wszystkich danych, zmusza go do ciągłej selekcji, dokonywania wyborów. Każdy z nas jest wręcz automatycznie włączony w przebieg procesu metabolizmu informacyjnego, którego zakłócenie może spowodować głębokie konflikty, jeśli nie zajmniemy postaw które zapewnią nam równowagę.

W takich samych okolicznościach sztuka współczesna usiłuje ocalić siebie. Jest nadal „żyroskopem” społeczeństwa, jej wewnętrzne przemiany są obrazem przemian, które dokonują się w tonie społeczeństwa, a także w psychice jednostki.

Wiek już prawie mija od czasu, kiedy ogłoszono „upadek” sztuki. To, co dzieje się w niej aktualnie, przeżywa takim twierdzeniem. Baza odniesień dzieła sztuki obecnie rozszerzyła się i próbuje objąć wszelkie rejony rzeczywistości. Pozostaje nadal jednak w kręgu relacji pomiędzy ośrodkami obiegu informacji: rzeczywistość — artysta — dzieło — odbiorca. Jej wybory ogniskują się i oscylują zawsze wokół głównego, uznanego za najważniejszy ośrodek.

Często sytuuje się sztuka współczesna wobec rzeczywistości ściśle artystycznej, opowiadając się za jej prymatem nad innymi, pozartystycznymi dziedzinami i kontynuuje doświadczenia konstruktivismu abstrakcjonizmu, minimalizmu.

W skrajnym tego zjawiska przypadku kiedy wyłącza rzeczywistość dla artysty jest sztuka, proces twórczy i jego własne doświadczenia, rodzi się autotematyzm. Wystąpił on również wespole zagadnień jakie usiłuje roz-

wiązać sztuka konceptualna w jej odłamie ukierunkowanym na badania języka sztuki. Nastąpiło zwołanie wartości dzieła sztuki i języka sztuki. Przeniesienie działań intelektualnych z procesu twórczego na proces poznawczy i metodologiczny doprowadziło do uosobienia dzieła sztuki jako rezultatu szeregu działań z operacjami intelektualnymi strukturalno-językowymi. Stąd był już tylko krok do zanegowania sensu istnienia dzieła jako finalnego, konkretnego bytu materialnego.

Paradoks? Nie. Raczej przyczyną do wejścia w sztukę plastyczną działań o innym podłożu, na które złożyły się doświadczenia teatru i haepeningu. To właśnie w teatrze aktor jest głównym twórcy-

rzeczywistością, on sam, podobnie jak aktor w teatrze, egzystuje w tworzonej przez siebie rzeczywistości. Siebie i własne modelujące, często jednorazowe, unikalne działania traktuje jako właściwy zastępnik tego, co nazywamy dziełem sztuki. Kreuje więc siebie lub modelowany przez siebie fragment rzeczywistości. On również decyduje w znacznej części o tym, jaką postawę, na ile czynną lub bierną, może zająć odbiorca.

Najpełniej o rzeczywistości wypowiada się sztuka usiłująca dociec istoty zjawisk i rzeczy, człowieka i społeczeństwa. Sztuka, która nie rezygnuje z żadnego ognia w łańcuchu informacji, która powstaje w samotności skupienia i marzenia twórcy.

W latach sześćdziesiątych zaistniały w sztuce potrzeby „powrotu do natury” — do rzeczywistości społeczno-kulturowej. W swoisty sposób, może najbardziej bezpośredni, realizował je pop-art i nowa figuracja. Kształtowała się zacytał hiperrealizm. Chłodnym okiem obiektywnego fotograficznego obserwatora rzeczywistość, która jak gdyby zrobiła się zbyt wielka, gigantyczna, nie na miarę jednostki, aby mogła ona szukać syntez. Rzeczywistość rozbita została na fragmenty mogące zmieścić się w pojedynczych klatkach błony fotograficznej i dzięki niej zindywidualizowana, mogła być przeniesiona do sztuki. Hiperrealizm w codziennosci uczy dostrzegać niezaawężaną, bo wtopioną w nurt życia, niepowtarzalność każdego z jego aktów. Artysta stara się ukryć za rzeczywistością nie interpretować jej, być w stosunku do niej przekazywaniem. Sztuka przez niego tworzona jest jak lustro lub szkło powiększające, powoduje, że przyglądamy się rzeczywistości jeszcze raz i inaczej jak byśmy żyli i jednocześnie widzieli siebie na zewnątrz dokumentując naszą egzystencję.

W opozycji do hiperrealizmu twórczość o tendencjach nadrealnych i metafizycznych zmierza w kierunku poszukiwania syntez, penetruje rzeczywistość próbując odnaleźć w niej najlepsze sensory bytu człowieka, jako istoty społecznej i jednocześnie odrębnej.

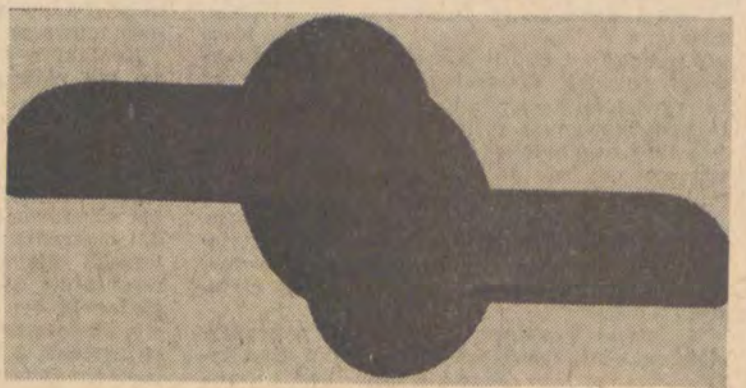
Artysta jest tym, w którym skupia się wszystko co powtarzalne i niepowtarzalne, eksperymentalne i introwertyczne. Mikroświat sztuki jest kluczem do makrokosmosu rzeczywistości, musi ją więc interpretować, docierać do jej tęgna. Wykorzystuje w tym celu iluzoryczną przestrzeń, odrywa konkret od warunkującego go kontekstu obiektywnego i przenosi go w wymiar symbolicznych metafizycznych skojarzeń i znaczeń, w jakich wystąpi on może tylko w sztuce, integruje fragmenty rzeczywistości, które w wymiarze obiektywnym uległy dezintegracji. Sztuka tego rodzaju jest kontemplacją rzeczywistości ludzkiej i przedmiotowej, efektem intelektualnego, emocjonalnego i wyobraźniowego przeżywania świata.

W takim gorącym, wrzącym tyglu zjawisk w sztuce debiutowali na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych młodzi łódzcy malarze i graficy. Musieli się określić choćby w pewnym stopniu do istniejących tendencji ogólnoswiatowych, ponieważ rozpoznali swoją twórczość, używając terminu McLuhana, w „globalnej wiosce” informacji, pośród przemieszczeń wartości idei i formy. W połowie lat 60-tych debiutowali: Ryszard Hunger i Andrzej Szonert.

Ryszard Hunger uprawia malarstwo. Z uporem i konsekwencją analizuje w swoich obrazach problem przestrzeni otwartej i zamkniętej, wewnętrznej indywidualnej i zewnętrznej — społecznej. „Okna”, Hungera monometrycznie i nostalgicznie szukają granic tożsamości pejzażu naturalnego z artystycznym, wyrażają dążenie człowieka do odnalezienia się w niewyobraźnym do końca strumieniu zjawisk życia. W warstwie ideowej malarstwo R. Hungera zbliża go do nurtu metafizycznego, w warstwie formalnej do lirycznego abstrakcjonizmu niegeometrycznego.

Andrzej Szonert wykorzystuje doświadczenia pop-artu, realizmu i surrealizmu, tworzy sztukę pełną dystansu, niezapadającą w pamięć, groteskową i ironią, w stosunku do rzeczywistości, pozwalającego na samoobronę artysty przed porządkowaniem się unifikacją i uproszczeniem spójnością osobowości twórcy.

Na koniec lat sześćdziesiątych przypadają początki twórczości Andrzeja Kabalę i Andrzeja Bartezaka. Andrzej Kabala uprawia grafikę i rysunek. Jego twórczość cechuje wysoka sprawność warsztatowa, klasyczna prawie dbałość o kompozycję, tajemniczy, romantyczny nastrój wy-



nikający z budowy artystycznej wizji świata wewnętrznych przeżyć i doznań ludzkich niezwykle piękno metafizycznej, lirycznej wypowiedzi.

Malarstwo Andrzeja Bartezaka oraz jego grafika wkraczają w rzeczywistość industrialną i skomputeryzowaną, zmechanizowaną i zautomatyzowaną, indywidualizując ją poprzez sztukę, proponując wobec niej zachowanie stanowiska racjonalnego i krytycznego. Nie negują jej, usiłują odnaleźć w niej wartości poznawcze i twórcze. Formalnie sztuka Bartezaka bliska jest konstruktywizmowi i abstrakcji geometrycznej, ale wykracza poza nie niosąc treści i motywacje emocjonalne.

Początek lat 70-tych wprowadził do łódzkiego środowiska kilka osobowości, artystów obecnie dojrzających, skrytykizowanych. Należą do nich: Marian Kepiński, Jacek Bigoszewski, Andrzej Gieraga, Grzegorz Sztabiński, Andrzej Adam Sadowski, Jerzy Tadeusz Mróz.

Świat malarstwa Mariana Kepińskiego już w założeniu jest metafizyczny, stosuje bowiem artysta zabieg przeniesienia cech bytu człowieka w byt przedmiotów będących konkretnymi wytworami kulturowymi lub wytworami wyobraźni twórcy. Kepiński dokonuje antropomorfizacji przedmiotu i kultury, widzi ją jako wiaściwą naturę człowieka, która może go rozwijać, ale także niszczyć.

Jacek Bigoszewski opowiada się za kontynuacją zdobyczy formalnych konstruktivismu i abstrakcjonizmu. Proces twórczy poddaje racjonalizmowi działania, bada możliwości funkcjonowania koloru w układach wielokolorowych podziałów płaszczyzny. Obrazy J. Bigo-

szewskiego oszczędne i zdyscyplinowane są źródłem doznań estetycznych i emocjonalnych przy maksymalnym oddziaływaniu formy.

Rysunki i reliefowe obrazy Andrzeja Gieragi w dramatycznie przeciwstawianej sobie czerni i bieli zaskakują dynamizmem abstrakcyjnej formy, która pobudza do refleksji nad witalnością życia i sztuki.

Oprócz twórczości plastycznej Grzegorz Sztabiński zajmując się krytyką artystyczną oraz filozofią, co nie pozostaje bez wpływu na jego koncepcję sztuki. W rysunkach i obrazach podejmuje zagadnienia dotyczące teorii dzieła jako komunikatu estetycznego. Sztuka jest dla niego terenem artystycznych eksperymentów nad kształtowaniem się jej języka.

Realista Andrzej A. Sadowski maluje obrazy pełne aprobaty dla życia społecznego w oparciu o warsztat fotograficzny, co pozwala uznać jego twórczość za hiperrealistyczną. Wnosi on jednak w metodę nowego realizmu swoją indywidualność, nie atakuje odbiorcy, nie narzuca mu się wielkimi formatami płócien, jego kameralne malarstwo jest opowieścią o pejzażach i zdarzeniach przeszłości, których ułotne piękno zatrzymał artysta w sztuce.

Bliskie realizmowi jest malarstwo Jerzego T. Mroza, który przedstawiając rzeczywistość pogłębia ją o odniesienia psychologiczne. Interpretowana indywidualnie nabiera cech nowych, autentycznych, wynikających z subiektywnego jej doświadczenia.

Sztuka stwarza wyjątkowe warunki do kształtowania się indywidualności i tylko one mają w niej pełne prawo bytu.

MARIA KĘPIŃSKA



Andrzej Gieraga — „Czerń i biel II”

wem dzieła-spektaklu, on żyje w jego określonej, wyłączonej, specyficznej przestrzeni fizycznej i przez czas jego trwania tworzy rzeczywistość o nowej jakości.

Jeśli więc w plastyce obraz, grafikę czy rzeźbę odrzuca się jako cel działania artystycznego, dokonuje się tym samym zawężenie środków skalających informację do relacji: rzeczywistość — artysta — odbiorca. Wtedy artysta jest dla siebie

chałowskiej — kalendarz — pamiętnik — lustro, w którym widziwie odnajdywali siebie następnego dnia na fotografiach, autotematyczne i językowe doświadczenia Zbigniewa Warpechowskiego, wszechogarniające environment z rzeźb tkanych Magdaleny Abakanowicz, projekt gigantycznego „Stoku” Wandy Czelkowskiej — by wyliczyć tylko część. Był to trzy tygodnie trwający spektakl z udziałem ok. 40 artystów — żywy, zmieniający się, realizowany na oczach publiczności.

Podobna myśl włączenia artystów do udziału w imprezie muzealnej kierowała Muzeum Sztuki organizującą działający się podczas trwania kolokwium ICOM pokaz „Z łódzkich pracowni”. Wracając, w pewnym sensie do doświadczeń z przestrzenią w koncepcji Władysława Strzemińskiego — współcześni artyści aranżowali przestrzeń — formą „Interwencje” Jerzego Treliskiego, światłem, efemerycznym obrazem rzutowanym na ściany i przedmioty („Hotel sztuki” Ireneusza Pierzgańskiego), dźwiękiem („Audycja” Andrzeja Łabodzińskiego i Krystyna Zielińskiego). Ponadto Ewa Partum w akcji „Poezja aktywna” uaoocznila fakt wszechobecności „zapisu powstałego przez partycypację automatyczną i bezinteresowną”.

W 1973 roku w Muzeum Sztuki odbył się cykl aranżacji Warsztatu Formy Filmowej PWSTwF w Łodzi, podczas których w wieloraki sposób przełamano barierę dzielącą artystę — publiczność — muzeum. Przekornie sięgnięto do sztuki nieprofesjonalnej posługując się amatorskim zespołem teatralnym, („Upadek Adolfa Hitlera” w insc. E. Kowalskiego), zorganizowano konkurs na „podpis artystyczny”, rejestrowano przy pomocy kamer telewizyjnych w ciągu całego dnia życie toczące się w robotniczym mieszkaniu, w warsztacie stolarza, na ulicy dając je do „kontemplacji” na monitorach zainstalowanych w sali muzealnej; słowem był to niejako powrót do źródeł „przyjęcie banału w najwzrosty sposób bez odwoływania się do egzotyki codzienności”.

Z drugiej strony, artyści badali możliwości sztuki, możliwości i względność zapisu. I tak jak w opisanym na początku zespole działań — widz był w pewnym sensie autorem akcji, tak tu akcje kierowane były do publiczności. Aranżacje warsztatu może najbardziej konsekwentnie zamieniły salę muzealną w pracownię, w której wraz z artystami działała publiczność.

Formę indywidualnych pokazów autorskich miała zorganizowana w 1974 roku wystawa „Doświadczenia i poszukiwania”, w miejscu historycznej galerii sztuki XX wieku. Zaproszeni artyści otrzymali, każdy dla siebie, salę, którą sami zagospodarowywali.

Wiele pokazów autorskich miało charakter wystaw klasycznych: Henryka Słazewskiego, Stanisława Fijałkowskiego, Leszka Róży, niektóre skłaniały do medytacji i wewnętrznego skupienia jak przestrzeń Koji Kamoji, inne wciągały w integralne environment jak Ryszarda Winiarskiego, czy też wprowa-

dzały atmosferę zabawy i działania jak rzeźby Jerzego Beresia.

Podobny charakter „otwartego” spektaklu miała zorganizowana w końcu 1976 roku wystawa Ireneusza Pierzgańskiego „Relacje” oraz Antoniego Starczewskiego „Paralele”.

Wszystkie opisane akcje, bardzo różnorodne, miały jedną wspólną cechę — rodziły się w trakcie działania, często zmieniały swój wyraz w trakcie kolektynnej pracy artysty i muzealnego zespołu, a następnie stawały się platformą dyskusji, a nie biernego odbioru.

Od bardzo wielu lat w Muzeum Sztuki realizuje się jeszcze jedna forma „otwartych drzwi”. Corocznie imprezy dla publiczności „Niedziela w Muzeum Sztuki” integrują w szczególny sposób plastykę, muzykę, film, „Bezceremonialnie” odbywają się występy amatorskich zespołów muzycznych, dzieci rysują w salach muzealnych, prezentowane są pokazy mody, akcje aranżowane na dziedzińcu muzealnym (Tadeusz Kantor, Ireneusz Pierzgański, Lena Kowalewicz) — naturalnie celem jest najszersze upowszechnienie zbiorów muzealnych, ale też uaoocnienie, że muzeum może być miejscem „foralnym”, do którego każdy ma łatwy dostęp, może być też w pewnym sensie terenem samorealizacji artystycznej.

Muzeum Sztuki było pierwszym muzeum w Polsce i jednym z pierwszych w Europie podejmującym ten system wspólnie z artystami i publicznością. Wyrazem tych dążeń Muzeum Sztuki było doprowadzenie w 1973 roku do ogłoszenia i rozstrzygnięcia konkursu na nowy gmach muzealny na terenach rekreacyjnych położonych niedaleko od centrum miasta w kompleksie parkowo-leśnym Zdrowie. Według założeń programowych miała zostać zrealizowana „idea muzeum — forum, muzeum otwartego, nie mauzoleum, lecz miejsca spotkań z żywą kulturą, bezpośredniego obcowania z różnorodnymi śladami działania artysty, miejsca publicznego; gdzie sztuka znajduje się jakby w zasięgu ręki człowieka. W nowoczesnym pojęciu muzeum, a także pragniem widzieć w Łodzi, powstała zupełnie nowa, zasadniczo odmienna od dotychczas przyjętych, warunki kontaktu człowieka ze sztuką, umożliwiające aktywne uczestnictwo odbiorcy w „konsumpcji” dóbr kultury, stwarzające okazję pożytecznego i zarazem relaksowego spędzenia czasu poprzez bezpośrednie udostępnienie odpowiednich urządzeń muzealnych: galerii zbiorów wyposażonej w nowoczesne aranżacje informacyjne, czytelną, gdzie swobodnie przebiegać będzie można przygotowane specjalnie wydawnictwa, albumy i czasopisma, otwartych pracowni specjalistycznych, sali przeznaczonych dla dzieci, permanentnie działających sal kinowych z możliwością sięgnięcia do najciekawszych filmów o sztuce, kawiarni otwartej w lecie również na świeżym powietrzu, urządzeń ekspozycyjnych i wypoczynkowych w otaczających muzeum terenach zielonych...

JANINA ŁADNOWSKA

ARTYSCI — MUZEUM — WIDZOWIE

ODGŁOSY 11



Temat współczesny dominował na ostatnim gdańskim festiwalu, określając temperaturę ideowych sporów i budził nadzieję na lepszą przyszłość polskiej kinematografii. Problematyka rzeczywistości społecznej, w której żyjemy była podejmowana z różnych punktów widzenia, jednakże owa wielość spojrzeń łączył wspólny ton niezgody na „to, co jest”. Krytyczna formuła „moralnego niepokoju”, którą opatrzone filmy młodych okazały się w odbiorze całości festiwalowego przeglądu pewną plamą pojęciową rozlewającą się na inne utwory również podejmujące krytyczną charakterystykę etycznych postaw.

Najwięcej kontrowersji i polemik o pryncypialnym charakterze wzbudził ostatni film Ryszarda Filipińskiego „Wysokie loty”. Jest to opowieść o losach ojca i syna zbrojonego w to nacji dość przysięgającej i posępnej. Bólem ich droga przez życie jest wyboista i stronna, pełna wyrzecz i bezkompromisowej walki w imię idei. Ojciec jest sekretarzem komitetu zakładowego partii w wielkim przemyśle, który podejmuje kruciatę przeciwko nieuczciwemu dyrektorowi zakładu dokonującemu malwersacji pod osłoną wysokiej protekcji, syn zaś to uzdolniony konstruktor samolotów, którego rewelacyjny projekt nie może znaleźć drogi do przemysłu w sieci nieoficjalnych rachunków, podejrzanych intryg i biurokratycznych rachunków. Tak streszczony film świadczy załedwie o intencjach reżysera, bowiem o wiele gorzej przedstawia się ich realizacja. Ideową argumentację degraduje i odziera z wiarygodności nieudolny warsztat reżyserski Filipińskiego, aktora, który od kilku już lat szuka sukcesu w pokrewnej profesji. Amatorski styl filmowego o-

nich etyczne wybory zyskują rangę rozstrzygnięć uniwersalnych.

Kontakt z literaturą nie zawsze jednak był tak płodny artystycznie jak w obu przypadkach. Tym razem o tej banalnej prawdzie przekonał się tak wytrawny skądinąd adaptator jak Janusz Majewski, który „przekręcił się” na adaptacji „Lekcji martwego języka” Andrzeja Kuśniewicza. Bo też pomysł był ekstrawagancki i szalenie ryzykowny, bo daj niemożliwość do realizacji. Wyrafinowana literacko wizjonerska proza Kuśniewicza kusila wyobraźnię niejednego reżysera filmowego, ale Majewski był pierwszym który zmierzył się z siłą obrazowania tego pisarza, z meandrami jego narracji, z nostalgiczną ewokacją już zamierzchłego świata pełnego magicznej urody. Niestety, dramat umierania młodego oficera austriackiej armii w scenarii odchodzącej w historię formacji cywilizacyjnej brzmiał na ekanie głucha, rozpływał się w serię barwnych widoków, którym brak spajającego całość rdzenia egzystencjalnego przeżywania.

Filmem wywiedzionym również z martwego obszaru kultury był zdumiewający debiut Filipa Bajona pt. „Aria dla atlety”. Był to w moim najgłębszym przekonaniu najbardziej interesujący utwór na festiwalowym ekranie odkrywający niepospolitą indywidualność artystyczną. Zaskoczenie tym filmem było tym większe że dotychczasowa twórczość literacka reżysera uprawiającego niezbyt interesującą, mimo pewnych aspiracji formalnych, współczesną prozę obyczajową w niczym nie apodobała prawdziwej eksplozji kreatywnej wyobraźni filmowej z powodzeniem wytrzymującej porównania z obrazami Felliniego.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

TO, CO BYŁO

powiadania, mdle i schematyczne główne postacie, które mają być nosicielami autorskich racji ideologicznych, czarno-białe kryteria w ocenie ludzkich działań, fałszywe uogólnienia — wszystko to powoduje, że „Wysokie loty” ogląda się z mieszanymi uczuciami. Trudno bowiem zgodzić się, aby doskonale znany w naszym życiu społecznym problem nieuczciwego bogactwa się kosztował innych, prywatnie i protekcyjnie oraz potrzeby walki z tymi zjawiskami został ukazany w takiej poetyce.

Lepiej przedstawia się film Ryszarda Bera „Hotel klasy LUX”, który również podejmuje osadzone w współczesnych realiach problem władzy wraz z jej psychologicznymi i etycznymi konsekwencjami. Pretekstem do ukazania różnych postaw moralno-politycznych jest sylwestrowy bankiet inauguracyjny działalności komfortowego hotelu w górskiej miejscowości wypoczynkowej, na którym spotykają się przedstawiciele władzy różnych szczebli, niedostępni antagonisty. Zawładanie zasadniczego konfliktu miało miejsce przed laty, kiedy to jeden z głównych bohaterów, ówczesny sekretarz Komitetu Miejskiego przeciwstawiał się budowie luksusowego hotelu w imię podstawowych racji gospodarczych służących interesowi społecznemu. Tęgo rodzaju argumentacja jak szowała go stanowisko, bowiem w pryncypialnym sporze zwyciężył jego główny oponent demagog i karierowicz, który przyjeżdża na bankiet już jako naczelny redaktor jednego ze stołecznych pism. Reżysera interesuje zagadnienie odpowiedzialności wynikające ze sprawowania władzy i stała konieczność sprawdzenia moralnych kwalifikacji ludzi, którzy pretendują do spełnienia kierowniczych funkcji.

Filmy Filipińskiego i Bera w nieco paradoksalny sposób uzupełniają moralną perspektywę opisu i oceny spraw społecznych, która podjęła kino młodych twórców: paradoksalny bowiem intencje jednego i drugiego kłó się ze sobą. Różnica sprowadza się do tego, że młodzi ukazują przyczyny i mechanizmy funkcjonowania deformacji życia społecznego, zwalniając jednostkę od kary w imię przekonania, że wina rozi się pomiędzy ludźmi, wynika z sytuacji, natomiast Filipiński i Ber ujawniają skutki zła, wskazując przy tym palcem na ludzi za nie odpowiedzialnych. Kto w tym sporze ma rację, pokaże przyszłość, która przyszedł.

Tegoroczny festiwal gdański obok dużej grupy autentycznie zaintrygowanych filmów i obok niespotykanej dotąd ilości debiutów miał jeszcze jeden watek, który wpływał stymulująco na uczestników, a mianowicie duża liczba premier. Filmy już oglądane w minionym sezonie nie budziły takiego zainteresowania i wyraźnie pozostawały w cieniu „nowości kwiata”. Ten „premierowy” punkt widzenia nieco zakłócał artystyczna hierarchia filmów całego sezonu, która mimo terroru premier przystomnie przywróciła jury, arensprawniście nagradzając utwory bezwzględnie najlepsze. I tak Nagrody Specjalne otrzymali nestorzy (tak!) polskiej kinematografii za dzieła, każde w swoim gatunku, prawdziwie wybitne: Andrzej Wałda za „Panny z Wilka” i Jerzy Hoffman za „Do krwi ostatniej”. Nagrodami Głównymi uhonorowano aż trzy filmy: debiut Wojciecha Marczewskiego oparty na prozie Emila Zegadłowicza „Złoty Zmory”, „Szpital Przemienienia” Edwarda Żebrowskiego według Stanisława Lema oraz premierowy film Krzysztofa Wojciechowskiego „Rog Brzeskiej i Capri”. Wadykt ten, który zwyciężył bez szemrania (także w konkursach bardziej szczeblowych) przypominał wszakże w atmosferze euforii z racji nowofalowych objawień pewną prawdę elementarną. Te mianowicie, że Nowa Fala Nowa Fala, a filmy rzeczywiste artystyczne, dzieła istotnie wielkiego formatu nadal rodzą się u nas z literatury. Prawde to z całą dobitnością uprzytomniły nie tylko „Panny z Wilka” ale również „Zmory” i „Szpital Przemienienia”, których ideologia także wynika z moralnego niepokoju, ale artystyczny poziom poczynającej literatury powoduje, że zarysowane w

Bajon wydobyl z zapomnienia wielce malowniczo postać Zbyszka Cyganowicza, synynego pokolenia zapasnika, który na początku stulecia zdobył trzykrotnie mistrzostwo świata w stylu francuskim i wiołomarekkańskim. Dzieje jego legendarnej kariery osadza w niezwykle barwnych realiach osobliwej kultury fin-de-siècle, w świecie wódrowych cyrków jarmarcznych widowisk, operowego grand spectacle i prymitywnego kinematografu Słowem w świecie wybujałej, barokowej subkultury, która jest domeną rozpasanego, świecącego największe triumfy kiczu. Przybiera on woryginalnym filmie Bajona kształty fantasmagoryjne, zjawiskowe i oniryczne. Jednakże ta surrealistyczna wizja rzeczywistości nasycona do granic najczystsza poezją wizualną nie jest jedynie efektywnym popisem inscenizacyjnej inwencji reżysera, lecz organicznie wyrasta z psychicznej kondycji głównego bohatera filmu. Ukrywa on bowiem pod brutalną powłoką cielesną poetycką wrażliwość, naturę marzyciela, który bezskutecznie dąży do niewystępowego absolutu.

Zastygły w starych albumach fotograficznych świat Bajon wskrzesza z ogroźnią intuicją i inwencją kreacyjną. „Aria dla atlety” zastanawia niezwykle konsekwentną i dojrzałością obranej stylistyki, w której tak łatwo do dysonansu. Wydaje mi się, że od czasu Jerzego Skolimowskiego nie było w polskim kinie równie obciążającego debiutu.

W zamierających enklawach egzotycznych kultur buszuje również Krzysztof Wojciechowski autor filmu „Rog Brzeskiej i Capri”. Takiego skrzyżowania nie znajdziemy na mapie Warszawy, ponieważ Brzeskiej znajduje się na Pradze, a Capri na Stegnach. Film Wojciechowskiego opowiada bowiem o nieuchronnej presji współczesnej kultury urbanistycznej, która działa uniformizując na wygląd naszych miast, nieodwołanie spychając w przeszłość barwne relikty przedmiejskiego obyczajów i folkloru. W celu zobrazowania tego procesu reżyser znowu posłużył się swoją oryginalną metodą parodokumentalnej inscenizacji, którą twórczo rozwija w filmie na film, zapisując zanikające ślady przeszłości.

Walka z płynącym czasem, próba ocalenia od zapomnienia zanikających kultur, melancholijny pletywny dla przeszłości były również — obok inwencji tematyki współczesnej — podstawowym motywem myślowym polskiego filmu anio domini 1979. Przy czym filmy na te tematy były bardziej ciekawe artystycznie, bardziej dojrzałe i przenawiające silniej indywidualizowanym głosem i w porównaniu z filmami współczesnymi wyartykułowanymi załedwie w jednej czy dwóch tonacjach publicystycznych. Skoro o historii mowa trudno nie zauważyć charakterystycznego zjawiska, które po raz pierwszy na tym festiwalu objawiło się w uderzającej oczywistości. Myślę o zaniku filmu wojennego, który od przeszło dwudziestu lat silniej lub słabiej, ale przecież zawsze nadawał ton naszej kinematografii. Filmów tych było załedwie 3-4 i — oprócz „Do krwi ostatniej” który, kto wie, czy nie okaże się labedzim „pięknym wojennym nurtem — nie zastępowały na baczniejszą uwagę. Znaczącym przykładem słabszego pulsu tematu wojny i okupacji był ostatni film Pawła Komorowskiego „Elegia” edzie finalna sekwencja poświęcona przedstawieniu bezprzykładnego hitlerowskiego mordu spalania żywcem kilkudziesięciu jeńców wojennych służy reżyserowi i operatorowi do estetycznych popisów w stylu „sulty ognia”.

Temat wojenny służył z większym lub mniejszym szczęściem jako podstawa kontaktu polskiego filmu z publicznością, nieodmiennie wyzwał zbiorową emocję, która obecnie wraz z pojawieniem się nowego pokolenia publiczności, pokolenia nie dotkniętego wojną, zdaje się przysychać. Pokolenie to szuka swoich filmów, swojego tematu i swojej ekspresji. Ostatni festiwal w Gdańsku, udowodnił, że już je znalazło.

NIE MA TO JAK NIEDZIELA

Niedziela, kiedy to — jak mówi poeta — nawet krzesła siedzą przed telewizorem, tym razem zaanektowana została przez Naczelną Redakcję Publicystyki Kulturalnej i jej popisy program czyli blok „Tyko w niedzielę”. Przywykliśmy do tego kramu tak jak do przyzwoitych butów, które przez częste chodzenie dały się rozdeptać. Ostatnia edycja owego programu jakoś nadmierne nie uwierała. Może dlatego, że ciekawość byłymy finału „Maratonu pokoi”, pomysłu, między innymi, niezmordowanej redakcji sportowej. Bo jakżeż to można było sobie wyobrazić: przeszło dwa tysiące, przecież mało przygotowanych amatorów na dystansie czterdziestu dwóch kilometrów i stu dziewięćdziesięciu pięciu metrów? (Podaje dystans słownie, aby był czas na refleksję nad tym karkołomnym pomysłem). Nawet Tomasz Hopfer, który wierzy w cuda (sportowe oczywista), nie ukrywał ciekawości jakżeż to wszystko się skończy. Nie trzeba było ośmiu godzin — ile zaplanowano — aby zawody zamknąć. Już po sześciu godzinach, kiedy nieustraszonego kapitana Malory wybrał się wysadzić działą Nawarony, dobiegał (no, tu już źdźbiko egzageruje) do mety ostatni uczestnik maratonu. Mało tego. Pierwszy z nich uzyskał czas najlepszy w Polsce na tym dystansie. Zatem sukces. Ciekawe, czy zostanie wpisany na listy rekordów polskiej lekkoatletyki. Mój sceptyczny sąsiad kazał mi zważyć w ten wynik — Wczoraj proszę pana, przestawialiśmy zegarki na czas środkowoeuropejski czyli o godzinę wstecz. W tej sytuacji łatwo się było pomylić o kilka minut. Ja tam jednak wierzę w telewizję.

Drugim „ełmotytem” niedzielnego programu było pol-

skie budownictwo i architektura. Temat rzeka i to mało uregulowana. Wystarczy przejść się po przestrzeniach własnego eM lub wyrzucić przez jakieś okno. Aby temat było lepiej widac, redaktorzy umieszcili dyskusantów na najwyższym w Warszawie (nawnie myślałem, że Pałacu Kultury nie przewyższy) gmachu Intraco. Niestety była mgła. Ale mimo to, jeden z dyskusantów, dojrawszy osiedle Za Żelazną Bramą, wygłosił jego apologię: jak wspaniale rozplanowane, ile zieleni i jaka przestrzeń. Takiego osiedla nie powstydziłby się ani Londyn, ani Paryż. To warszawskie jest najpiękniejsze. — Ale mieszkańcy najgorsze — sparował redaktor (audycja nazywała się „Ring”). — To już inna sprawa — uciął dyskusant. Symptomatyczny był gest jednego z malarzy-amatorów w audycji, której pomysł polegał na próbie namalowania panoramy Warszawy z miejsca, z jakiego rysował stołeczną Canaletto. Otóż ów malarz-amator, zaproszony przez telewizję, wbrew założeniom realistycznej wizji, pominął w swoim obrazie to wszystko, co stworzyła nasza współczesna ubranistyka. Niestety zabieg taki możliwy jest tylko w sztuce. Refleksja ta nie została wypowiedziana w programie, bo wypowiedziana być nie mogła. Już sobotni wytwór agencji Artel, reklamujący wyroby Vitroceru, a więc wkładziny żadenkowe, płytki ceramiczne, terakotę i inne tym podobne wszędzie dostępne artykuły (a jaki bogaty wybór!) nakazał nam spojrzeć do kalendarza. Oczywiście niedziela była Dniem Budowlanych. Gdzież przy świecie mówić o realiach i szczegółach Generalia, co by nie powiedzieć o imponujących. Wypacone okno bedniemy domykać w poniedziałek. W niedzielę złożymy

sobie życzenia i radujmy się Janem Kobuszewskim — mistrzem komedii.

Co jeszcze w niedzielę? Kolejny, czwarty odcinek serialu „Korzenie”. Wrażenia, które zanotowałem po pierwszym odcinku w dalszym ciągu można uznać za obowiązujące: „Chata wuja Toma” lat siedemdziesiątych. Nie podoba mi się, mogę nie oglądać. Zastanawiam się tylko, czemu telewizja każe mi się tym serialem emocjonować, nawołuje do telefonów, do pisanie, do zadawania pytań. Czy biali mieli prawo tak znęcać się nad czarnymi? Czy należy przeciwstawić się rasizmowi? Dlaczego Kunta Kinte wciąż myślał o ucieczce? Bo o coś może wiedz, ogładojący że nieskomplikowaną historię, zaplątał. Bywały w telewizji widowiska, serie, filmy prawdziwie interesujące i naprawdę domagające się szerszego dialogu z publicznością. Wtedy jakoś zawierzono wiedzy i inteligencji widzów. Teraz natomiast robi się duże halo.

Finałem niedzielnego wieczoru był filmowy esej Piotra Parandowskiego, powstały w oparciu o teksty Jana Parandowskiego „Listopad rzymski” i „Moj Rzym”. Film bardzo dobry choćby i dlatego, że na koniec esejistycznego programu, w którym polszczyzna była wywracana na nice, usłyszelismy fragmenty prozy w języku wciąż przecież pięknym i zrozumiałym.

I jeszcze słynne sceny milosne w wykonaniu studentów IV roku krakowskiej PWST a w reżyserii Krzysztofa Kieślowskiego. Kieślowski — co zrozumiałe — postawił na naturalność. Młodzi aktorzy starali się być sobą. W pełni udało się to we fragmencie „Szklanej menażerii”. Inne sceny (z Hemingwaya, Dostojewskiego, Witkacego i Antoniego) wykraczały poza doświadczenie cytowe i teatralne młodych ludzi. Nielatwo jest zagrać pustkę egzystencjalną wypowiadając słowa z filmu Antoniego; wyprępowane z obrazu szeleszczą papierem.

GRZEGORZ GAZDA

Wielokrotnie użalałem się w tej rubryce nad absencją Telewizji Łódź przy kształtowaniu obecnego oblicza teatru TVP. Sytuacja ta była dla nas łodzin szczególnie niełama ze względu na to, iż, jak wielu z nas jeszcze pamięta, był czas, kiedy ośrodek nasz dominował właśnie w tej dziedzinie (sam w tym marzęłem palcem). Obecnie, jak słychać, nastąpić ma w tym względzie zdecydowana poprawa, a udział nasz w tworzeniu widowisk teatralnych na antenie znacznie wzrosnąć. Będzie to z pewnością zgodne z aspiracjami zarówno zespołu łódzkiego telewizji, jak i środowiska teatralnego. A zatem czekamy!

Uwagi powyższe nasunęły mi się w związku z emisją widowiska „Czerwone róże dla mnie” irlandzkiego dramaturga Seana O'Casey (1884—1964) w reżyserii Jerzego Domaradzkiego. Program ten przygotowany został przez zespół telewizji łódzkiej, ale... przed czterema laty. Nie wnikałmy w tajemnice telewizyjnych gabinetów! Faktem jest, że nagrany na taśmie magnetowidu spektakl łódzki nieznosnie długo czekał na swoją kolejkę na antenie. Winu służy długie leżakowanie w piwnicach, mam wątpliwość, czy to samo odnieść można do programu telewizyjnego. Telewizja, podobnie jak film, jest sztuką często zmieniającą się mód i konwencji; a postęp techniczny to dodatkowy czynnik przyspieszający proces starzenia.

Spektakl „Czerwone róże dla mnie” zrobiony został w konwencji czarno-białej, a obecnie wszystkie niemal widowska teatru TV robi się w kolorze. Dla większości telewidzów, będących w posiadaniu odbiorników czarno-białych, to rzecz bez różnicy. Zgodą! Ale barwna rewolucja stuka już do bram naszej telewizji. Gdy ruszy masowa produkcja polskich telewizorów barwnych, obraz czarno-biały stanie się niebawem anachronizmem. Ten, kto już dziś odbiera program telewizji barwny, zgodzi się z mną, że wznowienie retrospektywnie widowskiego zrealizowanego monochromatycznie wyglądającego przy programach kolorowych jak wyszarzale, ubogie krewnie.

Klikulnie spoczywanie na półce sztuki O'Casey'a w inny jeszcze sposób zamanifestował swoje zastarczenie się. Oto edwórcy dwóch dużych ról w spektaklu już nie żyją. Mam na myśli przede wszystkim nieodżałowanego i niezapomnianego Feliksa Zukowskiego, który w roli starego Brenna stworzył kreację wręcz świetną. Na polu obłąkany, na polu nawiedzony starzec był w wykonaniu Zukowskiego najciekawszy aktorsko w całym widowisku. Rola matki głównego bohatera sztuki, pani Breydon, zagrała w sposób skrupiony i pełen dramatycznego napięcia Celina Klimczakówna. Chociaż w tym miejscu z pewnością niesprawiedliwy, nie mogę powstrzymać się od stwierdzenia, że przetrzymanie programu przez Naczelą Redakcję Programów Teatralnych TVP pozabawiło oboje doskonałych aktorów satysfakcji obejrzenia efektów swej pracy na antenie.

Tekst O'Casey'a nie należy z pewnością do łatwych, jak nie jest łatwa dla polskiego i chyba w ogóle dla europejskiego odbiorcy percepcja literatury irlandzkiej. Izolacja zielonej

wyspy od naszego kontynentu, jej specyficzny rozwój kulturowy, głęboko tkwiący korzeniami w nieznanym nam świecie mitów i klechd starożytnych, powoduje, że pisarstwo irlandzkie jest w dużym stopniu hermetyczne i ezoteryczne nie korespondujące ze znanymi nam konwencjami literackimi. Niemniej w literaturze, która wydała Yeatsa, Synge'a i Joyce'a, tkwią kuszące barwy i wonie, poezja i nastrojowość.

Debiut reżyserski absolwenta Wydziału Reżyserii PWSTvFIT Jerzego Domaradzkiego, mechanicznie opóźniony, wypadł interesująco. Reżyser położył duży nacisk na wydobycie nastrojowości i poetyckiej metafory tkwiącej w sztuce. Wbrew realiom, związanym z autentycznym strajkiem transportowców dublińskich w roku 1913 (sztuka napisana została przez O'Casey'a

NA ANTENIE TEATR Z ŁÓDZI

w 1922 roku, a sam autor związany był z rewolucyjnym ruchem robotniczym Irlandii), „Czerwone róże dla mnie” mają cechy ballady. Bohatera sztuki Ayamonna, rozpętywanego i poszukującego jakiejś nadrealnej „prawdliwości”, odnieść należy do świata legendarnych herosów, a krew na jego pierś, gdy padnie trafiony kulą podczas manifestacji robotniczej, więcej ma w sobie cech poetyckiego symbolu niż dosłowności.

Domaradzki poszedł więc słusznie w kierunku pewnego odrealnienia wydarzeń, niemal muzycznego rytmu w zmienności obrazów. W ich strumieniu zaznaczyło się dojrzałe aktorstwo Ewy Zdzieszyskiej, Bogusława Sochnackiego i Mirosława Szonerta. Na tym tle zawiąść raczej Krzysztof Stożłowski w roli Ayamonna. Jego przeżycie poetyckie było dość powierzchowne, nie przekonujące. Niewiele też potrafiła wydobyc z postaci Shelli partnerująca mu Janina Sokołowska.

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

* Wg informacji uzyskanych od kierownictwa ŁOT na ukończeniu są prace nad „Domkiem z kart” E. Zegadłowicza (reż. Marek Okopiński), a w najbliższych miesiącach realizowane będą „Przemyślenia pana Kleksa” J. Brzechwy (reż. Laco Adamik) i „Dziwaczyna z dżabanem” Lope de Vega (reż. Bogdan Baer) — „Mizantrop” Mollera (reż. Roman Kłosowski). W przygotowaniu dramaturgicznym są adaptacje powieści: „Przemyślenia Słowidzka” de Costera (Tadeusz Junak), „Makra” A. Kertesa (Władysław Orłowski), „Postępowanie spadkowe” Bubina i Karolczuka (Tadeusz Papler) i „Michael” K. Schlessingera (Edward Szuster).

„Akty męskie i damskie — bez odchyłań w stronę pornografii”. Tak reklamuje swoje atelier Martin Even, mistrz fotografii, będący jednym z mistrzowskich wcieleń współczesnego uwodziciela i zarazem bohatera potężnego dzieła Zbigniewa Nienackiego pt.: „Uwodziciel”. Akty męskie i damskie — tak reklamować można i tę książkę, mającą być w zamysłu autora dziełem o miłości i seksie, ich prawdziwym i fałszywym pojmowaniu,

„Uwodziciela”. Sprawa polega na tym, że „między kłamstwem, a prawdą jest dużo miejsca na różnego rodzaju półprawdy, ćwierćprawdy i mikroprawdy. To one pozostają naszym chlebem powszednim” — jak wyznaje z rozbijającą szczerością narrator „Uwodziciela”, bynajmniej się od tej reguły nie odłączając. Podstawą, jeśli nie jedyną, praw-

nieefektywnie wypadło to streścić! Bo czy można w kilku słowach oddać sens tego, o czym autor pisze na 424 stronach? I to w dodatku nie cytując smakowitych określeń w rodzaju: „król penisa”, „bledny rycerz vaginy”, „historia literatury to, poza nielicznymi wyjątkami, perypetie nieudaczników seksualnych”?

Oczytawszy się w rozprawach z dziedziny psychiatrii doszedł Nienacki do wniosku, że literatura piękna jest niczym innym jak tylko dziełem szaleńców, wariacji i obłąkanych, którzy poprzez swe dzieła biorą odwet na ludziach normalnych. I zabawił się, tworząc fantastyczną klinicę asa psychiatrii — doktora Hansa Jörga, do której wpakował co znamienitszych pisarzy i ich bohaterów, z satysfakcją przydając im etykiety, jakimi w praktyce zawodowej posługują się psychiatrzy. Do wadujemy się tedy, że na przykład Don Kichot był psychopatą typu hysteroidalnego lub też chorował na psychozę maniako-depresyjną, Izabela Łęcka cierpiała na lizofaliozizm, wdowa po Janie Minciu zaś była kobietą pełną pożądliwości i spragnioną rozkoszy, a Wokulskiego cechował kompletny brak libido. W tej sytuacji nie można oprzeć się wrażeniu, iż oto „Uwodziciel” będzie wreszcie szlachetnym odwetem na całej dotychczasowej szatańskiej twórczości literackiej (błada zaś temu, kto ośmielił się powątpiewać!).

Jakkolwiek by zresztą tej powieści nie traktować, wniosek po jej lekturze płynie jeden: aby dziś pisać o miłości trzeba mieć w małym palcu i seksuologię i psychiatrię kliniczną. Choć i to nie jest wyjście ostateczne. Przecież Nienacki świadom jest, że „organizmem się oczywiście wszystkiego nie wytłumaczy, bo medycyna (...) jest w ślepych zaułkach. Ale literatura jest tam także”. Na przekór temu gorąco jednak polecam „Uwodziciela” — jest co czytać i oglądać.

**TADEUSZ
BŁAŻEJSKI**

Zbigniew Nienacki, *Uwodziciel*, Pojezierze, Olsztyn 1978, nakład 19.750+250 egz., str. 424, cena zł 50,—

Dostarczył Edward Redliński sporo satysfakcji swoim czytelnikom powieściami „Konopielka” i „Awans”. Na progu teatru jednak się potknął, zbyt szybko chciał przeskoczyć jego stopień. Aż żal o tym pisać, szkoda, by Redliński

KANCIASTY CZWOROKĄT

ski złamał pióro dla teatru, ale, niestety, sprawa stała się publiczną, bo Teatr Ziemi Łódzkiej wystawił „Czworokąt”.

Eksplicakcja autorska: jak ją sobie wyobrażam wyglądałaby zachęcająco. Wzajemny przepływ wzorów wie — miasto, chłop-intelgent, wrastanie w nowe środowiska pierwszych pokoleń, wszystko jednak nie w tonie dramatu lecz komedii. Główni bohaterowie — to para małżeńska. Ona — naukowiec (?), córka robotnika i działacza społeczno-politycznego, on — inżynier budowlany, architekt (?), syn ubogich chłopów. Teraz są już urzędnicy, mają swój czworokąt na nastym piętrze wieżowca, w barze whisky „Ballantine”, w pokoju obok — ojca Iny (Karoliny), emerytowanego działacza. Zastajemy tę rodzinę w punkcie zwrotnym, kiedy Ina decyduje się powiększyć rodzinę o... gospośnię. Tori (Antoni) jest temu przeciwny, ze względów moralno-ideologicznych. W ogóle Tori jest do tyłu, ciągle spogląda wstecz, na wieś, którą pamięta jakby poprzez lekturę Konopielki. Za to bardzo do przodu jest Ina, która chciałaby mieć lepsze mieszkanie, jeździć za granicę, kupić samochód itd., itp. Teś jest wzruszającym okazem z muzeum, w którym przechowywane są notatniki retro-agitatora, zaś gospośnię — Beata, stojąca w szpagacie między wsią i miastem, nie może się utrzymać na nogach w szpilkach darowanych jej przez Inę.

Taką eksplicakcję, podpisaną przez Redlińskiego, przysłałby każdy dyrektor teatru. Wiadomo, „Konopielka” wiadomo „Awans”, bvsrte

spojrzenie ironisty rewidującego wiejsko-niejskie stereotypy, światowego obserwatora obyczajów, szydery, a i moralisty.

Tyle że eksplicakcji zagrać się nie da. Grać trzeba sztukę. A ta jest niestety, zbiorem płaskich skeczów, płaskich i niezreżymowanych napisanych. No cóż, bywa. I chyba tylko niefortunnej pogoni teatru za repertuarem współczesnym, za współczesną komedią, przypisać należy rozpaczyliwy krok TŻL, sięgnięcia po „Czworokąt”. O ileż zresztą, sprawniej i dowcipniej napisana jest sztuka Łalki grana w Teatrze 7.15. Tę, tato, sprawa się „typła”, poruszająca niektóre ze spraw „Czworokątu”. Tam jednak były zarysy krwistych charakterów, tu jest jedynie ostentacyjny zamiar autorski, dramaturgia ciągnięta za uszy.

Bywa, że słabą sztukę wyciągną mimo wszystko aktorzy, tak jak się stało z niedawną telewizyjną premierą „Miejsca rektorskiego” J. P. Gawlika. Tu jednak, jak mi się zdaje, aktorzy nie mieli większych szans; nie bardzo bowiem wiadomo, jak grać „Czworokąt”. A i doświadczenie sceniczne nie to. Grał więc kanciasto, obijając się o niezreżymowaną, chropawą tekst usiłując robić wszystko aby było śmieszniej. Zyciwa publiczność premierowa wydusiła z siebie śmiech od czasu do czasu, ale brzmiał on równie fałszywie jak kwestie padające ze sceny. Ludność zresztą w ogóle chciała się śmiać więcej — może nawet tym więcej, im mniej jest powodów, nie więc dziwne, że śmiała się niekiedy i na „Czworokącie”, jakby chcąc pomóc w niewdzięcznym zadaniu Barbarze Więckowskiej (Ina), Mieczysławowi M. Szarganowi (Tori), Tadeuszowi Teodorczykowi (Dziadek), Barbarze Szymonowskiej (Beata).

Po premierze poszedłem z grupą znajomych na kawę. Siedzieliśmy wpatrując się w szklanki przez pół godziny, po czym zrezygnowaliśmy z rozmowy i poszliśmy do domów. Postanowiłem sobie, że napiszę o wszystkim krótko, oszczędzając autora.

JERZY KATARASIŃSKI

Teatr Ziemi Łódzkiej, Edward Redliński, „Czworokąt”. Reżyseria — Krystyna Szner, scenografia — Ireneusz Pierzalski. Premiera prasowa — 18 września 1979 roku.

MIŁOŚĆ, SEKS I LITERATURA

a także polemiką z dotychczasowymi literackimi wzorcami w tym zakresie.

O niektórych sprawach pisze Nienacki całkowicie serio, o innych z wyraźnym przymrużeniem oka. Niekiedy zresztą trudno się zorientować, czy mówi poważnie, czy też kpi tylko sobie, a może wyczuwając odzwiały się w nim rozmaite kompleksy, zadry, nie najlepsze doświadczenia, gdy wtłokrotnie, z wyraźnym uporem, deklaruje swą niechęć wobec krytyków literackich. I ma najwidoczniej powody, bo oto zamiast połączyć jednym tchem tę niecodzienną na powieść, zachwycić się i na tym poprzestać, niejeden zaczął utyskiwać. Choć — prawdę powiedziawszy — może się nawet w tym przypadku poczuć bezradny tą zwykłą bezradnością wobec zbyt łatwego łupu, jak ktoś, kto pragnąłby długo zdobywać ukochaną kobietę, a musi ją mieć od razu (by pozostać w sferze egzemplifikacji

dą życia jest dlań miłość, wyjątkowo często utożsamiana po prostu z seksem. Kłamstwem zaś to wszystko, co ma do powiedzenia na ten temat literatura, ścisłej zaś mówiąc poprzednicy autora „Uwodziciela”. Maszynką do wykrywania wspomnianych fałszów stają się w książce Nienackiego prace z zakresu psychiatrii, psychopatologii seksualnej itd., itp., przytaczane anonimowo i z odwoływaniem się do nazwisk, streszczane, włączane do dialogów, cytowane, komentowane, rozdrabniane i kondensowane. A wszystko po to, by dać do zrozumienia, iż erotyka jest niezmierznie ważna w życiu człowieka, że jest sztuką, której trzeba się uczyć ciągle, ciągle ją doskonalić, i wreszcie, że szczęśliwym może być tylko ten, kto żyje „od siebie” — chce dawać otoczeniu, co ma najlepszego. Napisałem to słowa i spostrzegam, iż żal autora „Uwodziciela” do krytyków jest uzasadniony: jakże

Gdy przed dwudziestu dołkami laty oglądaliśmy na scenie Opery Łódzkiej zrealizowany przez Feliksa Parnella balet Adolphe'a Adama „GISELLE”, już wtedy podnosiły się głosy podające w wątpliwość samodzielną wartość tego utworu. Dyskusje wokół tego tematu widać można w nieskończoność i nie wydaje się, by przyniosły one jakieś rozwiązanie, o które, jak są-

jednak o tym „sztandarowym” baletcie romantycznym nie powiedzieli, wypada z radością powitać go na scenie, tym bardziej, że każda staranna jego realizacja ma okazję stać się dla wielu odbiorców pierwszym etapem wtajemniczenia w pełen zwodniczych labiryntów świat tańca. Świadomie podkreślam tu narzucającą się konieczność, wręcz obowiązek starannego inscenizowania

ten przyniósł pożądany efekt. W tej też kategorii ocenianie będziemy na naszych łamach, z przyjemnością odnotowując już sam fakt podjęcia takiej próby, której znaczenia — w szeroko rozumianym procesie edukacji teatralnej widza — nie da się przecenić, biorąc pod uwagę w jak daleką przyszłość sięgnęły wpływy baletu romantycznego. To zwłaszcza młodemu widzowi,

prawę plastyczną (uwzględniając także „romantyczną” grę światła). „Plan” widowiska jest więc czytelny i rzetelny, ale wypełniająca ów plan „żywa” treść nie może nie wzbudzić pewnych drobnych zastrzeżeń. Zasadnicze zastrzeżenie skierowałabym do orkiestry, która tym razem nie urzekła mnie ani czystością brzmienia (należy wyrażać zakłócenia w pierwszym ak-

brakowało nieco pewności skoku i zwykłego u tego świetnego przecież tancerza dynamizmu, którym (jakby oszczędzając siły w akcie „realistycznym”) zabył się dopiero w części drugiej. Podobnie jak Kazimierz Knoll w partii Hila-

ne w wielu miejscach niedostatków technicznych wydają się być jednak drobne i sądzę, że kwestia niezbyt długiego czasu jest całkowicie ich wyeliminowaniem. Zespół Teatru Wielkiego chętniebyśmy zawsze oglądać w jego najlepszej formie.

T. S.

„GISELLE” — PRÓBA REKONSTRUKCJI

dze, najmniej w podobnych sytuacjach chodzi i które zjawiać się w ich wyniku nie mogą, cały bowiem problem sprowadza się do odwiecznego sporu o miejsce tradycji i rolę uswieconych nią dzieł we współczesności, która — co naturalne i oczywiste — przynosi nowe treści i być może ciekawsze, bogatsze rozwiązania formalne. Ow stały rozwój form i środków wyrazu wszystkich gatunków sztuki, a wśród nich także sztuki baletowej, nie byłby bez poznania jej tradycji możliwy. Ten spór wobec owej oczywistej prawdy nie wymaga rozstrzygnięcia i nie spieszmy się z polonizowaniem motorem koniecznego rozwoju i narodzin „nowego” a odciskając się znaczącym piętnem na repertuarach naszych scen wydatnie podnosi temperaturę życia teatralnego.

„GISELLE” — dzieło Adolphe'a Adama ma z jednej strony szerokie rzesze admiratorów, z drugiej zaś odpowiada- jące im liczbą zastępy przeciwników. Czego byśmy dziś

„Giselle”. Wobec nie budzącego już dzisiaj dawkniejszych wzruszeń libretta oraz muzyki, o której przy najlepszych nawet chęciach trudno powiedzieć, iżby była oryginalna czy szczególnie w swej prostocie wysmakowana, najmniej — choćby od tego obowiązku odstępstwo grozi niebezpieczeństwem dla czystego w swej konstrukcji utworu otarcie się o kicz. Sposób na uniknięcie tego niebezpieczeństwa jest tylko jeden. Inszenizacja „Giselle” musi dzisiaj łączyć w sobie świeżość emocji z równie konieczną dla precyzyjnego wyrażenia treści tego utworu mistrzowską techniką wykonania zarówno baletowego jak i orkiestrowego. Tak więc pozornie tylko łatwego, a w istocie bardzo przecież trudnego zadania podjęli się realizatorzy pierwszej w tym sezonie premiery w Teatrze Wielkim. Z kształtu przedstawienia powołam sobie wnosić, iż jego twórców chodziło o próbę rekonstrukcji romantycznego widowiska baletowego i stwierdzić muszę, że zamiar

emocjonującemu się (często — króć tylko na fali obowiązujących mody) osiągnięciem. Bejarta czy — u nas — Conrada Drzewieckiego, trzeba uświadomić, jaką drogę przejsz musiła europejska sztuka tańca, by osiągnąć swój dzisiejszy poziom i zdobyć ów znacznie przecież bogatszy od romantycznego zasób środków i form wyrazu artystycznego. Balet romantyczny jest istotnym etapem stałego jej rozwoju. Warto zatem oglądać go w kształcie możliwie najbardziej zbliżonym do oryginalnego. Tak kształt starali się osiągnąć realizatorzy łódzkiej inscenizacji.

Spektakl przygotowany jest starannie i zdaje się spełniać wszystkie wymogi stylu romantycznego. Mamy więc typowe, klasyczne wręcz rozwiązania choreograficzne — proste układy stwarzające przy tym możliwości zarówno indywidualnych, jak i zbiorowych prezentacji kunsztu tanecznego i dramatycznego oraz zgodną w swych założeniach z przekazami ikonograficznymi o-

ciel), ani zgodnością tempa, którym raz — to zwalniała, raz przyspieszała rytm działań scenicznych. Prowadzącego orkiestrę Tadeusza Kozłowskiego niech rozgrzeszy i usprawiedliwi fakt, że dopiero na kilka dni przed premierą dowiedział się o konieczności prowadzenia jej za pulpitu, przy którym tego wieczoru stanął młody Zdzisław Drobner, którego nagła niedyspozycja zmusiła Kozłowskiego do przejścia pale-

Dobrze ze swych trudnych zadań wywiązali się wykonawcy głównych partii — Ewa Wycichowska (Giselle) i Kazimierz Wrzosek (Albert). Ewa Wycichowska — z premiery na premierę prezentująca coraz lepszą technikę — szczególnie podobać się mogła w dramatycznej, finałowej scenie aktu pierwszego, ale najsłabszą — i najniechętniejszą lekkość i precyzję jej kreacji podziwiałam w drugim, „baśniowym” akcie przedstawienia.

Kazimierzowi Wrzosekowi w pierwszej części spektaklu



A. Adam „Giselle” — Ewa Wycichowska (Giselle), Kazimierz Wrzosek (Albert)

riona. Kreowaną przez siebie postać obdarzył konieczną ekspresją i dramatyzmem. Ciekawie zaprezentowała się Dorota Puzanowska w partii Mirty. Zdecydowanie słabo natomiast — Grażyna Popławska i Zbigniew Sobis w pas de deux. Cały zespół podobać się mógł w scenach zbiorowych, zwłaszcza jego piękniejsza część w rytualnym tańcu zjaw. Trudno byłoby mi uznać ten spektakl za znakomity. Wyraż-

Adolphe Adam — GISELLE. Libretto wg Heinricha Heinego — Jules Vernay de Saint-Georges i Théophile Gautier, kierownictwo muzyczne — ZDZISŁAW DROBNER i TADEUSZ KOZŁOWSKI, choreografia (wg Mariusa Petity) JAROSŁAW „IASIECKI”, scenografia — JAN BERNAS. Premiera na scenie Teatru Wielkiego dnia 22 września 1979 r.

EWA PANKIEWICZ

Piotruś nie miał jeszcze trzech lat. Był dzieckiem urodziwym, ale bardzo nieśmiałym. Był także łagodnym i może dlatego przez innych lekceważonym. Nie umiał i wyraźnie nie chciał się bronić przed agresywnością różnych zabijaków, ustępował bez boju, a jedyną bronią jaką stosował, był smutek. Bo Piotruś z całej sierocy gromady, o której tu mowa, najbardziej odczuwał swoje sieroctwo.

Aż tu któregoś dnia pani wychowawczyni, ta młoda, lubiana przez wszystkie dzieci, powiedziała Piotrusiowi do ucha, kładąc go spać: — Piotrusiu, wiesz, jutro przywiozła ci brata.

Niespodziewana wiadomość tak go oszłomiła, że długo nie mógł usnąć. Rozmyślał: możliwe to, żebyśmy ja miał brata? Żaden z chłopców nie ma brata, a on miałby mieć? On, Piotruś, małe popychadło, lekceważone przez innych różnych zabijaków i zuchwalców? Pewno pani wychowawczyni żartowała.

Gdy wstał rano jeszcze nie wierzył, dopiero kiedy stara Marianna, kucharka, która bardzo lubiła Piotrusia, zatrzymała go w przejściu i powiedziała:

— No, Pietrek, skończy się od dzisiaj twoja bida. Już cie nie będę chłopaki popychać, ani nogi podstawić, ani zabów za kółkiem wrzucać.

— A dlaczego się skończy? — Bo teraz będziesz miał brata. On cie będzie bronił.

— To ja naprawdę mam brata? — A masz, masz, tylkoś o tym, nieboże, nie wiedział.

— I co taki brat robi? — Co ma robić. Będzie ci za opiekuna. Zawsze co dwóch, to nie jeden.

— I zawsze już będzie nas dwóch? — Tego naprzód wiedzieć nie można, ale kto tam wie, może wam się uda. Rodzice was opuścili, ale jak jest dwóch razem, to już prawie rodzina.

— A dlaczego nas opuścili? — Tego ja nie wiem, bo i skąd mam wiedzieć — powiedziała Marianna i poszła do swojej roboty.

Tego ranka Piotruś nie chciał jeść śniadania, a nikt nie mógł wiedzieć, że się tego nieznajomego brata trochę bał.

Bawili się właśnie w zaklepanki, gdy weszła pani kierowniczka, prowadząc za rękę ciemnowłosego chłopca lat chyba siedmiu, o czarnych oczach patrzących śmiało, można by nawet powiedzieć — zadziornie. Dzieci przerwały natychmiast zabawę.

— Gdzie jest Piotruś — zapytała pani? — bo Piotruś schował się za szafę.

— Prze pani kierowniczki, on się schował za szafę — wrzasnęły chórem maluchy.

Pani się roześmiała.

— Chodźcie tu Piotrek, nie się nie bój, przyprowadziłam ci brata.

Piotruś popychany przez inne dzieci wyszedł na środek pokoju i stanął przed kierowniczką, nie podnosząc oczu. Czarny chłopak też stał nieruchomo, ale wpatrzony był w Piotrusia.

— No, Romek, przywitaj się z braciśkiem — powiedziała pani.

Romek podszedł do Piotrusia energicznym krokiem, chwycił malca za rękę, potrząsnął nią i rzekł:

— Cześć, Pietrek!

Wtedy Piotruś podniósł oczy i przyjrzał się bratu. Zapominała chwila ciszy.

— No, Pietrek, co powiesz bratu? — zapytała pani.

— Teraz będzie nas dwóch — szepnął ledwie dosłyszalnie.

— To i dobrze. No, dzieci, bawcie się dalej. Nie się przecie nie stało.

Tak się pani kierowniczka zdawała.

Nikt do „zaklepanki” nie wrócił. Jak pani kierowniczka wyszła, wszystkie dzieci skupiły się przy „nowym” i przyglądały mu się, nawet dotykały.

— Czego się pchacie? — powiedział Romek ostro — starszego brataście nie widzieli?

— To jest mój brat, — oświadczył niespodziewanie Piotruś i chwycił Romka za rękaw.

— My nie mamy bratów... nikt nie ma brata — odezwali się głośno.

— On też nie miał, a teraz ma. Choć Pietrek, pokaż mi wasze zabawki.

W południe przy niziutkim stole, dostosowanym do wzrostu maluchów, siadło ich trzech: dzieciścio. Bo podano obiad. Romek odepchnął Wojtkę, który zwykle siedział obok Piotrusia i usiadł na jego miejscu. Wojtek uderzył w bę.

— Czego? — spytała dyżurna.

— Prze pani, ten nowy usiadł na moim miejscu.

Zapomniano załatwić wcześniej tę skomplikowaną sprawę.

— No, to siadaj gdzie indziej.

— Ale ja nie chcę.

— Co ty chcesz, to nieważne. Nowy jest bratem Pietrka i będzie siedział obok niego.

Zrozumiałeś? A ty na nowym miejscu koło Kazi — przestań się mazać.

— Ja nie chcę koło Kazi — upierał się Wojtek. Ale inne dzieci go zakrzyczały. Więc rad nie rad usiadł na wskazanym sobie miejscu, kopiąc Kazię pod stołem.

Dyżurna rozlała zupę, i każde chwyciło za łyżkę.

— Dlaczego nie jesz? — spytał Romek Pietrka bo Piotrek ciągle wpatrywał się w niego z niesłabnącym napięciem i wi-

docznie zapomniawszy o zupie. Przestraszony ujął niezgrabnie łyżkę i zaczął jeść. Ale ręka mu drżała i płyn spływał mu po brodzie.

Wtedy Romek, własną łyżką począł go karmić. Przy stole zapanała cisza. Dzieci przestały jeść, przyglądając się niezwykłemu widowisku. Po dłuższej chwili rozległ się ogólny szep.

— Patrzcie, ten brat karmi Piotrusia.

Cisza zadziwiła dyżurną.

— Co jest? Dlaczego nie jesteście zupy?

chaniem mocniejszych, bił każdego, kto podstawił nogę lub opryskał go wodą. Piotruś pierwszy raz w życiu poczuł się bezpiecznym.

Trwało to kilka miesięcy. Dopóki nie przyszła kontrola z Ministerstwa Zdrowia. Kontrola stanu liczebnego Domu Dziecka. Przyszła i od razu z gromadki dzieci wyłowiła Romka.

— A co tu robi ten starszy chłopiec? Chyba ma dużo więcej, niż trzy lata?

— Tak, ale w domu star-

cierniowiczki — ładny przykład dla maluchów.

Pani wychowawczyni musiała siłą wyprowadzić Romka, obawiając się dalszych protestów chłopca.

Piotruś niewiele rozumiał z tej sceny zaniepokoił go jednak gniew brata i jego płacz, gdy już leżeli w łóżkach.

Po raz pierwszy widział Romka płaczącego i to tak rozpaczliwie, toteż zawtórował mu, rozumując że tym wyrazi mu swoją solidarność. Plakali więc obydwa w najlepsze, wprawiając tym resztę dzieci w zdumienie. Wtedy weszła pani kierowniczka.

— Co tu za beki? — zapytała ostro — a to ty Romek. Dajesz dobry przykład maluchom, nie ma co, przyjdź rano do kancelarii, to ci wytłumaczę, o co chodzi. A teraz przestań się mazać i przeskakzać spać innym. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Ale nazajutrz pani kierowniczka wezwana została na jakąś konferencję, a potem zapomniała o obietnicy wyjaśnienia Romkowi jego sprawy. Nie zapomniała natomiast wysłać wniosku do Ministerstwa Oświaty o przeniesienie siedmioletniego Romka do domu dzieci starszych w Radomiu.

Minał miesiąc, w czasie którego Romek z wesołego chłopca zmienił się w ponuraka. Tkli się po kątach, uniósł zabawę, stracił apetyt. Był ciągle w humorze. Dzieci się dziwiły temu, potem przywykły. Tylko Piotruś nie mógł się pogodzić z taką odmianą. Chodził za bratem jak cień, siadł mu na kolanach i spoglądał w oczy z niepokojem.

Wreszcie któregoś dnia pani wychowawczyni uprzedziła sekretnie Pietrka, że nazajutrz przyjdzie po niego ktoś z domu dziecka w Radomiu. Ze ona, na własną rękę, chodziła do ministerstwa prosić, żeby go zostawili tutaj, ale nie się nie dało zrobić. Mówiąc to miała łzy w oczach.

I rzeczywiście, rano o godzinie dziesiątej, zjawił się wychowawca z Radomia.

Posłano któregoś z chłopców po Romka, ale rezerwowny Zdzisław wrócił z wiadomością, że go nie może znaleźć. Poszła więc na poszukiwania dyżurna wychowawczyni, ale i ona wróciła z niczym.

Fakt ten wywołał zaniepokojenie, które wzmogła jeszcze wiadomość, że nie ma także Pietrka. Gdy do dwunastej w południe ich nie odnaleziono, dano znać na milicję.

Ale dopiero po dwóch dniach przywieziono ich karetką milicyjną z Izby Zatrzymań Dziecka.

Tymczasem tego pierwszego dnia, o zmroku, do bramy budynku, w którym mieściła się Izba Zatrzymań Dziecka, ktoś zadzwonił. Odwrotny, dobro-

śliwy Walenty, zdziwił się ogromnie widokiem dwóch małych interesantów, trzymających się za ręce.

— A co to? — spytał. — Wy do kogo?

I pomyślał sobie, że ci dwaj mają tu pewnie zatrzymanego wcześniej brata, albo siostrę.

— Do pana komendanta — wyjaśnił śmiało starszy.

— A co wy macie za interes do pana komendanta?

— Mamy. Bo jeden chłopak na ulicy nam powiedział, że jak nie mamy gdzie spać, to nas tu przenocują.

Walenty zdumiał i pomyślał sobie szybko: — Co za dzieciaki teraz na świecie; panie święty! Ale ich nie odprawia, no, bo jakżeby, i rzekł:

— No, to chodźcie. Zaprowadzę was, gdzie trzeba.

Szli grzecznie za nim po schodach i czekali, trzymając się ciągle za ręce pod drzwiami, podczas gdy odzwierzy zapukał i wszedł tam, nie zamykając ich za sobą.

— A co powiecie? — zapytał widocznie zdziwiony niespodziewaną o tej porze wizytą porucznik MO, kierownik Izby Zatrzymań Dziecka.

— A to, proszę pana kierownika, jakiegoś dwa obce dzieciaki mówią, że przychodzą z jenteresem.

— No, cóż, jak z interesem, to dawajcie ich tu.

Dzieci weszły i starszy nich powiedział grzecznie:

— Dobry wieczór, panie kierowniku.

A młodszy powtórzył to za nim:

— No, dobrze, dobry wieczór — odpowiedział kierownik.

— A skąd wy jesteście?

— Z miasta.

— Z miasta? A kto was tu przysłał?

— Nas nikt nie przysłał, tylko jeden chłopak na ulicy nam powiedział, że jak nie mamy gdzie spać, to możemy tu przyjść i nas przenocują.

— I tak sobie sami chodzicie?

— Sami. Bo myśmy uciekli z jednego domu dziecka.

— Patrzcie! Uciekliście! A dlaczego?

— My jesteśmy dwa bratki, a oni nas chcieli rozdzielić i mnie przetrzasnęli do Radomia, bo tam są starsi. To ja go zabrałem, żeby był ze mną w tym Radomiu.

Pan kierownik przyjrzał się uważnie Romkowi i pomyślał niespodziewanie dla siebie samego: — Szkoda, że nie masz takiego syna.

Ostatni odcinek szkicu Andrzeja F. Grabskiego poświęcony Bolesławowi Limanowskiemu ukazuje się za tydzień.

ZOFIA LORENTZ

„DWA BRATY”

(Opowiadanie)

— Jemy — odpowiedział jej zgodny chór i pospieszny brzęk łyżek o talerze.

Tymczasem Romek powiedział do Piotrusia:

— Obetrzyj sobie brodę. Masz chusteczkę?

— Nie.

Romek wyjął z kieszeni własną i otarł nią buzię Piotrusia.

Wszyscy i temu przyglądali się ze zdumieniem. Piotruś to zauważył, na jego bladej twarzy zabłysnął triumf: podniósł wysoko głowę i popatrzył koło siebie w oczy, podczas, gdy jego własne wyrażały teraz dumę.

I tak się zaczęło rodzinne życie Piotrusia. Trudno sobie wyobrazić, jak był szczęśliwy! Romek pomagał mu we wszystkim, do zapinania małego wianuszka, strzegł przed popy-

skich zabrakło miejsc, a u nas akurat dwoje poszło do adopcji — wyjaśniała pani kierowniczka — i mieliśmy miejsca wolne, więc przyjeżdżamy go czasowo.

— Tym bardziej że ten chłopiec ma tu młodszego braciśka — wtrąciła, nieśmiało wychowawczyni grupy B.

— To nie ma żadnego znaczenia. Istnieją zasady i powinniśmy je przestrzegać — karzącym tonem oświadczyła pani inspektor. — Proszę zaraz wystąpić do Ministerstwa Oświaty o przeniesienie chłopca. Chociażby do innego miasta.

— Ja nie chcę do innego domu — wykrzyknął Romek, słysząc zalecenia pani inspektora.

— Ooo! Proszę! — powiedziała pani inspektor do pani

RYMWID

MACIEJ KONONOWICZ

WEHIKUŁ CZASU

Ikar dostojnie wstępuje
w naszą świadomość
jak długo oczekiwany gość
do odświętnie przygotowanego domu

Odys w zapomnienie powoli idzie
jak na piwo do baru
na spotkanie
romantycznych kompanów

Śledzimy z zachwytem
loty współczesnych nietoperzy
których księżyc ciągnie siłą
na swoją stronę

Tam gdzieś
Ikar spotka Pana Twardowskiego
i nadziwić się nie będą mogli
Jurijowi Gagarinowi

Sterana tratwa
osiądzie na mieliznie legendy
a Odys z Trzema Królami
oparci o bufet
ponarzekają trochę
na podstępne sputniki
udające gwiazdy
i zdradziecko płaczące
ich drogi do celu

Będą śmieszni
jak strzelający z kuszy
Wilhelm Tell
w epoce rakiet „ziemia-ziemia”

Ale zostanie po nich
romantyczny refleks
jak światło gwiazdy
cieszący kochanków

Bez nich
nie utrzymamy
napiętej cięciwy komputerów
rozmieniających zimno uczucia
na najbardziej optymalne tory
po których najprecyzyjniej
toczyć się będzie
wykalkulowana
nieprzystępna przyszłość mego wnuka
który lepiej by był
Małym Księciem z bajki

Romantyzm będzie można kupić
w antykwariacie
(ostatnim przeżytku naszego stulecia)
do którego zaglądną tylko maniacy
poszukujący przedwiekowych rycin
przedstawiających człowieka
z dziwnie małą głową
i atawistycznie przerośniętym sercem

Mojemu wnukowi
w słowniku wyrazów jemu obcych
komputer odszuka terminy
Miłość
Radość
Nienawiść
Złość
Pogarda
ale niestety
wtedy już
najprostsze te pojęcia
wykładane będą w uniwersytetach
Tylko najprecyzyjniejszym konstrukcjom

Teorię miłości zrozumie tylko
dwudziestu najinteligentniejszych

Popatrzcie!!!
Odys załamuje ręce!!!

Paryż, 1978 r.

Załącznik nr.

HASŁO NUMERU: Martwisz się o piłkarzy? A czy oni martwią się o ciebie?

Poszedłem się oświadczyć. Mój przyszły teść wydał mi się człowiekiem miłym, ale nieco przegazonym. Był bardzo zdenerwowany. Ledwie zdążyłem wybać kilka słów przywitania, odciągnął mnie na bok.

— Niech pan się nie denerwuje. Błagam, niech się pan nie denerwuje! — wyszeptał do mojego ucha. — Naprawdę pan?

— Proszę bardzo — odpowiedziałem nieco skonsternowany. bo jednak z nas dwóch mój przyszły teść wydawał się bardziej zdenerwowany.

Wypiliśmy. — Lepiej panu? — popatrzył na mnie z troską wzrokiem. — No nie, ja naprawdę nie mogę patrzeć, jak pan się trzęsie!

— Ależ skąd... — usiłowałem nieśmiało zaprotestować. — A może... dla kurażu po jeszcze jednym?

Przyzwalał więc kiwnąłem głową.

— Młody człowieku, niech pan się trzyma, na litość boską, to tylko chwila! — za-

szeptał mi do ucha, gdy wychylił napełnione kieliszki.

— Ależ, proszę pana, ja właściwie na całe życie...

— Coś pan! Całe życie na kolanach?!!!

— Nie rozumiem, dlaczego na kolanach?

MIROSLAW KUŹNIAK

OŚWIADCZYN

Popatrzył na mnie z nieukrywanym zdumieniem, a potem domyślnie kiwnął głową.

— No to jeszcze po maluchu.

Wypiliśmy. Nachylił się do mojego ucha.

— Ma pan chusteczkę?

— Mam. Proszę. Przepraszam, jeśli niezbyt świeża.

Sam pan rozumie: samotny mężczyzna...

Mój przyszły teść zatrząsał ramionami:

— Nie dla mnie! Nie dla

mnie ta chusteczka! Dla pana!

— Dla mnie? A po co?

— Podłożyć pod kolaną!

Popatrzyłem na niego z jeszcze większym zdumieniem.

Widocznie mój przyszły teść zrozumiał to spojrzenie opacznie, bo od razu zaproponował:

— Jeszcze po kieliszeczku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

— Przeszło? — spytał z troską wzrokiem. — Jak pan będzie klekał przed rodzicami panny, niech pan podłoży chusteczkę. Inaczej szkoda garnituru.

— Przed rodzicami? — powtórzyłem w zamyśleniu. — To znaczy przed panem?!

Machnął lekceważąco ręką.

— Przede mną czy nie przede mną, wszystko jedno. Tylko błagam, niech pan się nie trzęsie! No to po raziku?

Wypiliśmy.

Wypiliśmy.

— Mało mówię.

— Słucham?

— O sobie nic, tylko potakiwać. Zrozumiał?!

Kiwnąłem głową i znowu wypiliśmy.

— Ech, życie, życie — powiedział nagle mój przyszły teść. — Gdybym ja miał takiego teścia jak pan, wszyscy byliby inaczej. Nie rąbnąłbym przed teściową na kłęczki, jak baran. Nie powiedziałbym tyłu głupstw, ile ona ode mnie wówczas wyłuskała. Ech, wszyscy byliby inaczej.

Wypiliśmy. Nie zdążyłem odpowiedzieć mojemu przyszłemu teściowi, bo do pokoju weszła moja przyszła żona z przyszłą teściową. Stały w drzwiach pokoju. Przyszła teściowa popatrzyła na nas krytycznym wzrokiem.

— No i patrz, zdążyli się już uchać! Oj, dziecko, jakie ty sobie życie gawędzisz! Chcesz się męczyć z tym opojem, tak jak ja...

Rymnąłem przed nią na kolana.

25 lat temu cieszyliśmy się wszyscy że powstał w Warszawie piękny stadion — pomnik Dziesięciolecia. Zresztą taka też i nazwa. Trzymał ten pomnik — Stadion Dziesięciolecia. Piękny to stadion. Wielki. Odbudowany na nim czasem piłkarze mecz tam rozgrywali a przez resztę czasu stadion był pusty i niezauważalny. Od dawna trwa więc dyskusja co zrobić ze Stadionem Dziesięciolecia. I oto znów dyskusja się nasiliła. Kłopotliwy problem Stadionu Dziesięciolecia stanął na porządku dnia.

Proponuje nam różne A żeby był tam tor żużlowy żeby odbywały się mecze międzypaństwowe żeby rozgrywane wielkie imprezy lekkoatletyczne. Proponuje się w

okolicach stadionu wielkiego hotelu, hali sportowej i innych sportowych urządzeń, aby powstał ośrodek sportu i rekreacji. Proponuje niby dobre. No, bo co miało być przed stadionem, jeśli nie sportowe imprezy różnego rodzaju. Tylko, że do tego aby tak się stało potrzeba stadionu przebudować, dać mu sztuczne oświetlenie, zmienić murawę, przebudować szatnie, zrobić pomieszczenia dla prasy, radia i telewizji, unowocześnić bieżnię i tak dalej i tak dalej.

Nie posiadamy właściwie reprezentacyjnego stadionu, który mógłby przyjąć imprezy na poziomie mistrzostw Europy czy świata choć wiele klubów posiada stadiony, nieźle wyposażone i przygotowane do rozgrywania poszczególnych konkurencji według wszelkich na najwyższych wymaganiach Stadion Dziesięciolecia jest natomiast niezły, zaniedbany, zapomniany. Można powziąć kłopotliwy pomysł i co z nim zrobić?

Dyskusja trwa. Padają coraz bardziej sensowne propozycje. Oby się na tym nie skończyło. Oby o Stadionie Dziesięciolecia dyskutowano już nie pierwszy raz. Ale, że by ostatni. Może się jednak ktoś zainteresuje tym kłopotliwym pomnikiem. Bo tak po prawdzie to trochę wstyd.

K. I. BIC.

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179

451-179



Rys. Jan Zieliński

POMYSŁ

Jak poinformowało zmotoryzowanych słuchaczy „Radio Kierowców” w niedzielę, 30 września 1979 roku odbyła się w Warszawie giełda części samochodowych. Wiadomość ta z pozoru nie zawiera w sobie nic sensacyjnego, ani nadzwyczajnego. Powszechnie jest wiadomo, że część z pasażerów do samochodów brakuje, więc giełda na której znajdują się tak poszukiwane części samochodowe wywołuje niewątpliwie zainteresowanie i do Warszawy na niedzielę, 30 września 1979 roku zgładza tłumnie posiadacze samochodów. Ale to tylko pozor.

Giełda części zamiennych organizuje na Żeraniu Fabryka Samochodów Osobowych. Fabryka widząc posiadanie w swoich magazynach pewne za pasy części zamiennych do samochodów przez siebie wyprodukowanych i chce je udostępnić potrzebującym. Nie ma w tym dziwnego. Pomysł godny pochwały.

Myliłby się jednak ten, kto tak pomyślał. Otóż FSO udostępnia tylko tereny przyfabryczne dla uczestników giełdy. A uczestnikami jej mają być sami zainteresowani. Każdy posiadacz samochodu — rozumując słusznie — gromadzi na wszelki wypadek różne części do swego samochodu. Alści zgromadzić w częściach drugiego „Pata 125p” nie może. Posiada więc jedne części, brakuje mu innych. Posiada na ogół te części, których mu nie potrzeba. Brakuje mu tych, których mu akurat potrzeba. Na giełdzie FSO będzie mógł sobie dokonać korzystnej dla siebie wymiany. I to jest pomysł.

Nie byłoby w nim nic dziwnego, gdyby nie drobneśka, że właśnie FSO jest tych części producentem. Ma przecież moralny obowiązek produkowania części zamiennych w takich ilościach, aby „użytkownicy” produktu finalnego” czyli inaczej mówiąc samochodów FSO mieli tych części w wystarczającej ilości. Tylko, że jest to czynność dość trudna i kłopotliwa. O ilez łatwiej skrzyknąć posiadaczy samochodów i każąc im dokonywać wymiany posiadanych części.

Na naśladowców długo czekać nie będziemy. Już widzę, jak przedsiębiorstwa usługowe zorganizują giełde usług. Każdy z nas przecież coś umie. A to jeden z naszych hobby nauczy się przyklejać tapety. Inny znakomite myje okna. Inny jeszcze wolny czas spędza na robieniu polek. Inny wyspecjalizował się w słusztwie inny... I tak dalej. Skrzyknąć hobbyści będą mogli na takiej giełdzie uszeregować między sobą poszukiwany zakres robót i terminy ich wykonania. Fachowcy natomiast będą mieli świetny sposób oraz multum czasu na grę w karty i picie wina.

I to jest najprawdziwsza nowość. To jest pomysł!

ZYG. ZYG.

„ZAŁĄCZNIK” POLECA!



Foto: A. Tworczyński

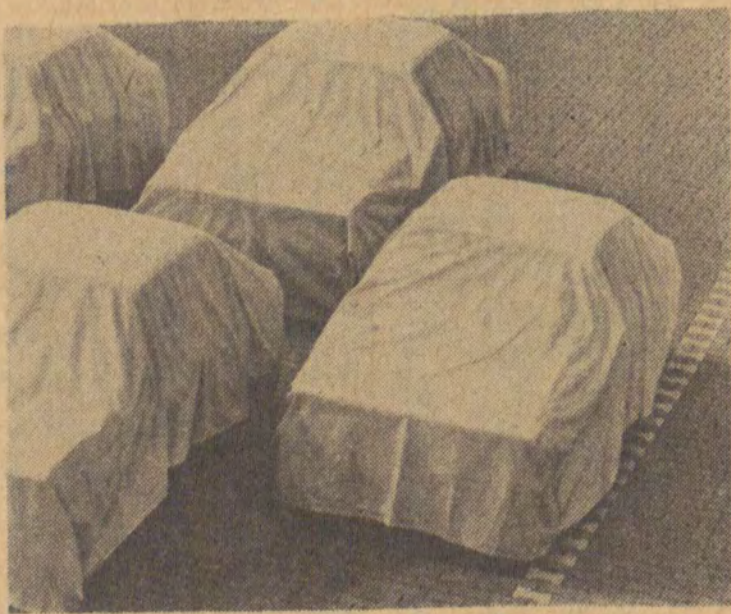
„Czarny kabaret” — tylko dla dorosłych w PTL „Pinokio”. Autorzy — MARCIN WOJCIK i ANDRZEJ ZAORSKI oraz reżyser JERZY MICHAŁAK sytuują nas w piekło, co wydaje się dostateczną rozrywką. Twórcą Drakula, Frankensteinów, Wilkołaków jest JERZY KALINA — ubiega je i rozbiłera...

TO NIE JEST TO

Hasło: „Coca cola to jest to!” na dobre zadomowiło się już w naszym życiu umysłowym i często posługujemy się nim niozem uniwersalnym wytrychem. Rodzą się jednak pewne wątpliwości czy Pepsi cola to jest to? Skoro dokonano jednak dzielninowego podziału krawa na dwie uzupełniające się dzielnice: dzielnicę Pepsi coli i dzielnicę Coca coli to można mniemać że Pepsi cola to jest to. Ale nie zawsze.

Dla wygody klientów o czywiste proponuje się „Pepsi coli” w litrowych butelkach i bardzo do brze o pozwłku takiej i niełatwo rozpisywać się nie będą, każdy może

ZRÓB TO SAM!



Oto gustowne modele pokrowców na zimę dla twojego ukochanego samochodu!

ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI

KACZA ZUPA CZĘŚĆ PIERWSZA: „PRZYJAZD”

Sezon polowania na dzikie kaczkę zapowiadał się tego roku doskonale. W okresie legów wód było dużo i gniazda kaczek pełne młodych piskląt. Rokowały dobre rezultaty na polowaniu w moim życiu. Polowaniu. Dzięki znajomościom w Zarządzie Lasów Państwowych, udało się załatwić odstrzał kaczek w bardzo atrakcyjnej dla młodego myśliwego okolicy — na Suwalszczyźnie. Papier z urzędowymi pieczęciami pozwała na rozpoczęcie polowania w dniu 1 sierpnia. Do wyznaczonej przez Nadleśnictwo gajówki, gdzie mieszkał także strażnik łowiecki przyjechałem po wieloletniej podróży wieczorem 31 lipca. Pogodny wieczór i ciepłe w pełni zapowiadał świtanie w pierwszym dniu polowania

wyśmienite. Gajówka położona była w niewielkim oddaleniu od wiejskiej drogi prowadzącej do wsi Bagno, około kilometr od pierwszych chałup wiejskich. Kryty strzechą dom gajowego, otoczony dokoła niskim płotkiem z żerdzi młodej leszczyny sprawiał wrażenie wstawionego do wielkiego koła. Na powitanie zjawił się duży kudłaty pies, nieco wyglądem przypominający wyża niemieckiego. Był może babka psiny miała sporo wspólnego z tą rasą, ale z biegiem czasu do głosu w ewolucji psiej rodziny zaczęły dochodzić cechy okolicznych kundli i dziś witalność młodego stworzenia tylko w zarysach przypominała swoich przodków. Psina obwąchawszy mnie do-

kładnie, zaznaczyła „mokry ślad” na oponie samochodu, aby następnie „dając głos” w kierunku domu chlebowawcy ogłosić, że „coś przyjechało”. Jakoż i po chwili z chaty wyszedł starszy już mężczyzna, ubrany w wojskowe spodnie i saperki. Zielona koszula rozpięta na piersi dopełniała stroju.

— Skierowano mnie do pana na polowanie — powiedziałem na przywitanie. Wymieniłem także swoje nazwisko.

— Marucha — odpowiedział gospodarz potrząsając moją rękę. Szerokim gestem zaprosił do wnętrza domu.

(c.d.n.)